AS



Nr. 41

10 PAŹDZI[illegible] 1937

WESOŁA TRÓJKA

Joan Cr[illegible] Franchot Tone

ROŚLINY AERONAUTAMI



Owoce — latawce roślin z rodziny jaskrowatych.

W słoneczny i pogodny dzień rozpoczyna się zadziwiający start roślinnych aparatów lotniczych. Balony i aeroplany roślinne o różnorodnych kształtach wbijają się w górę i niesione prądem powietrza odbywają nieraz dłuższą wędrówkę, aby wylądować zdala od miejsca, w którem rozpoczęły swą podróż.

Czemże są te statki powietrzne roślin? Są to nasiona i owoce hojnie przez przyrodę



Oto różne „aeroplany" roślinne: 1) skrzydlak klonu, 2) skrzydlak jaworu, 3) owoc lipy, 4) skrzydlak jesionu, 5) skrzydlak klonu polnego, t. zw. poklonu.

wyposażone w lotnicze urządzenia, ułatwiające podróż w dal od rośliny macierzystej.

Gdyby nasiona wydane przez jedną roślinę padły w jej pobliżu i tutaj wykiełkowały przy sprzyjających warunkach, okazałoby się wkrótce, że nie mogą rozwinąć się z nich młode i silne rośliny. Zabrakłoby do ich rozwoju zarówno miejsca, światła jak i pożywienia z otaczającej gleby. Najkorzystniejszem zatem dla nasion jest oddalenie się ich od macierzystej rośliny.

I oto w całej pełni występują u nasion i owoców wielu roślin przystosowanie do wyzyskania pomyślnego wiatru. Ich aparaty lotnicze są doskonale skonstruowane. Przy najmniejszym ciężarze posiadają jaknajwiększą objętość przez co mogą stawiać opór prądowi powietrza.

Mkną więc w powietrzu aeronauci roślinni. Z puszystej kuli znanego wszystkim dobrze mniszka (Taraxacum officinale) zwanego też żartobliwie „stałością męską" odrywają się jedne za drugimi małe owocki, opatrzone delikatnym pęczkiem włosów, niby spadochronem i unoszą się w powietrzu. Wiele z nich w czasie tej powietrznej wędrówki ginie, wiele ląduje w nieodpowiednich miejscach jak na wodzie lub kamieniach, część ich jednak opada na podatny grunt, znajdując dobre warunki dla swego rozwoju. Nic dziwnego, że każda roślina mniszka produkuje tak wiele owoców. — Znaczna bowiem ich część marnieje i narażona jest na zagładę.

Start balonów mniszka zależy od stanu pogody a przedewszystkiem od wilgotności powietrza. Gdy powietrze jest nasycone wilgocią, łuski okrywy kwiatowej zamykają się i obejmują wszystkie owocki wraz z ich spadochronowemi urządzeniami, gdy zaś jest sucho i pogodnie, okrywa się otwiera i przy sprzyjającem wietrze dokonuje się wzlot powietrznych statków.

Podobnie unoszą się puszyste i delikatne nasiona ostów, stanowiące ulubiony przysmak szczygłów. Z prądem powietrza mkną także drobne nasiona topoli i wierzb, otulone jakgdyby płaszczem, utkanym z delikatnych, jedwabistych, białych włosków.

U nasion niektórych roślin, z chwilą, gdy osiągną one stałe podłoże, następuje oderwanie się aparatu lotnego tak, że nasienie traci zdolność do dalszego lotu. W ten sposób zachowują się nasiona drzew szpilkowych. Jeszcze wybitniej występuje to zjawisko u nasion ostów (Carduus) i ostrożni (Cirsium). To też częste pojawianie się tych chwastów na murach lub pod parkanami tłumaczy się oddzieleniem się aparatu lotnego od nasienia w chwili zderzenia się z nimi.

U innych znowu, jak n. p. u podzwrotnikowego porośla Tillandsia aparat spadochronowy w czasie lotu nasienia ułatwia mu jego powietrzną wędrówkę, gdy zaś nasienie opadnie na korę jakiegoś drzewa, umacnia go na niej.

Poniżej: Puszyste owoce rośliny „mlecznik słoniaw".





Owoce „mniszka lekarskiego" posiadają urządzenia... spadochronowe.

Nasiona niektórych roślin mają jako aparaty lotne skrzydełka podwójne lub pojedyncze. Na skrzydełkach lecą nasiona drzew szpilkowych i ruchem wirowym opadają na ziemię. Znane dobrze skrzydlaki klonów i jaworów zwane przez dzieci „noskami", niczem aeroplany szybują w powietrzu i wpadając jakgdyby w korkociąg opadają na ziemię. Ruchem śrubowym opadają również owoce lipy lub grabu, którym unoszenie się



Owocostan „mniszka lekarskiego", zwanego też „męską stałością".

ułatwiają suche listki, będące przykwiatkami.

Niektóre z owoców lub nasion, n. p. u kuklika lub powojnika mają wygląd latawców. Wzlatują one w powietrze na długim jakgdyby ogonie, pokrytym delikatnemi włoskami.

Wszystkie te przystosowania mają ułatwić roślinom rozsianie ich zdala od rośliny, która je wydała. Lecą więc z wiatrem roślinni aeronauci, odbywając podróż „w nieznane", zdane na prąd powietrza. Jaki będzie kres tej powietrznej wędrówki? — Niewiadomo. Być może skończy się pomyślnem wylądowaniem lub też katastrofą. Zadecyduje ślepy los i przypadek.

Dr Z. M.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 41 **Niedziela, 10 października 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 41-GO:



Japonja pragnie zdobyć jaknajliczniejsze rynki zbytu dla swego wszechstronnego przemysłu, zasypującego już od kilku lat swymi niezwykle taniemi produktami kraje całego świata. Ochronne cła zamknęły ich granice przed japońskim dumpingiem, co w rezultacie spowodowało zbrojny najazd na Chiny. Narazie Japonja „dusi się" od nadmiaru wyprodukowanych towarów, a mieszkanki „kraju kwitnącej wiśni" mają ich wybór daleko większy, niż Amerykanki w Nowym Jorku, lub Francuski w Paryżu. Na zdjęciu: wnętrze jednego z magazynów w Tokio.

Taniec



RYTMEM NASZEGO ŻYCIA



Ciało musi stać się giętkie — oto początek każdego ćwiczenia.



Na prawo: Przyszłe gwiazdy filmowe.

W ogrodach, które wypełnione ciasno willami, spływają wzdłuż drogi, prowadzącej do szkoły tańca, kwitną kwiaty jesienne: dalje, floksy, georginje. — Wśród szumu samochodów, ślizgających się po asfalcie, wśród turkotu tramwajów i głuchego szmeru kolei podziemnych przebija się brzęczenie pszczół, korzystających ze światłości dnia jesiennego, aby zdobyć ostatni plon.

Szum i szmer, brzęczenie i pomruk wzmacniają się coraz bardziej w przepełnionym kwiatami parku, w którym znajduje się szkoła tańca. Otwierają się drzwi i widać biegnące po sali młode dziewczęta, poruszające się przy wtórze głośnych taktów instrumentów, z podniesionemi ramionami, na końcach stóp, pojedynczo, parami, we trójkę. Biegną w stronę olbrzymiego lustra na ścianie, z którego wybiegają im naprzeciw ich odbicia.

Siedzimy na tarasie z kierowniczką szkoły. Dolatuje nas podniecająca muzyka w przytłumionym poszumie. Pragniemy dowiedzieć się od mocodawczyni młodych elewek i rytmu muzyki, jakie zadanie spełnia w życiu nauka tańca. Lecz w obliczu tego rozsłonecznionego dnia i roztańczonych młodych dziewcząt pytania takie wydają nam się nie na miejscu. Dochodzimy do przekonania, że taniec jest poprostu składową częścią życia, chociaż tak mało ludzi sobie tę prawdę uświadamia.

Trzeba jednak odbyć t. zw. wywiad. Zapytujemy naszą rozmówczynię, czy naprawdę, tak z głębi serca, uważa taniec za środek pedagogiczny? Bo właściwie trudno dzisiaj zdać sobie sprawę, do jakiej kategorji czynności należy taniec zaliczyć. Czy trzeba go traktować jako rozrywkę, czy uważać za rodzaj sportu względnie gimnastyki, czy jest on — jak twierdzi wielu psychologów — erotycznem wyżyciem się, czy też najko-





rzystniejszą demonstracją urody i wdzięku? Mistrzyni tańca uśmiecha się — widać, że nasze pytania są odzwierciedleniem zapatrywań laików na sztukę taneczną

Skąd pochodzi taniec? Na to pytanie odpowiada nam przyroda kołysaniem gałęzi drzew, uginanych wiatrem, skaczącym promieniem słońca, które w każdej niemal minucie zmienia delikatny rysunek ram okiennych, gałęzi, zarysów postaci, kwiatów, zbóż i t. d.

Poddajemy się wszyscy w radości i w zdumieniu, w załości i bezsilności pewnym poruszeniom, posługujemy się podświadomie mową ruchów, która jest zaledwie słabą odpowiedzią, dalekiem echem wewnętrznych impulsów, poruszeń i wezwań. W dziecku przemawiają tego rodzaju impulsy potężniej i silniej, aniżeli w człowieku dorosłym. — Wraz z postępem wieku odruchy te stają się coraz słabsze i rzadsze. Człowieka dorosłego musi się prośbami i zaklęciami, namowami i podstępami zmuszać do tego, aby się poruszał żywiej i więcej, aniżeli musi bezwarunkowo, aby ulegał zewowi krwi, nerwów i ducha — przebywającego jedynie w bardzo ruchliwem ciele. Przeważna część dorosłych nie zdaje sobie już z tego sprawy, że tkwi w nich pragnienie kołysania się, wirowania, nachylania w rytmie uderzeń serca, pulsu krwi. Nie wiedzą, że ciało pragnie wykonywać ruchy w takt radości i cierpienia, aby stłumić nieznośność bólu lub spotęgować nawał radości i podkreślić wspaniałe uczucie życia.

Z naturalnych poruszeń — co podkreśla zawsze każdy pedagog tańca i kierownik szkoły tanecznej — wywodzą się warjanty taneczne, powstaje poprzez drogę długą i pełną trudu **właściwa** sztuka tańca. Nie można tego określić, w jaki sposób te ruchy wyzwolone składają się w harmonijną całość. Tego można tylko doświadczyć, o ile się samego siebie podporządkuje trudom wstępnym, jeżeli się usiłuje wydobyć ze siebie bodaj to, co tkwi w każdym człowieku, nie wypowiedziane ruchami.

Przeważna część kobiet, które nie obierają tańca jako zawodu, oddaje się sportowi tanecznemu tylko dlatego, bo mniema, że w tańcu najlepiej i najprzyjemniej wytrenuje swoje ciało. Nie wiedzą zatem nic o tem, co tkwi w człowieku i co za pośrednictwem tańca się wyzwala.

Nie powinno się młodym kobietom brać tego za złe, jeżeli garną się do tańca tylko w celu osiągnięcia widocznych korzyści, chcąc zapomocą rytmiki zdobyć szybko walory urody. Sądzimy, że jeżeli ktoś usiłuje opanować sztukę tańca wyłącznie dla skorygowania prezencji, to czasem dojdzie do świadomości, jak wartościowy jest taniec jako bodziec życia, a z tem rozpoznaniem przyjdzie i pragnienie tańczenia tak, jak nam serce dyktuje.

M. M.



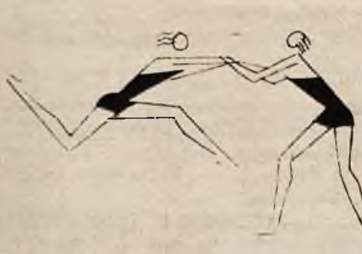
Taniec nowoczesny: (szkoła Hallerau-Laxenburg).



Powyżej: Taniec klasyczny (szkoła Mary Wigmann).



Na lewo: Nina Petrow z baletu Diaghilewa.





Na lewo: Symfonja tańca (szkoła Egona Molkow).



REYMONT I CZWARTY WYMIAR



Zaciekawiały go nauki, tak zwane, tajemne. Szczególniej spirytyzm. Czytał, pochłaniał, z literatury metapsychicznej, co w rękę wpadło. Wreszcie miał dość teorji, chciał zajmować się spirytyzmem czynnie, praktycznie.

Zdaje się, że w licznych o jego dziełach i o nim studjach literackich, ta skłonność nie była zauważona przez krytykę.

Co to jest spirytyzm?

„Ruch spirytystyczny" — pisał Stanisław Przybyszewski w swej książce „Moi współcześni" — zainicjowany w Ameryce przez genjalnego, ale wpółobłąkanego wizjonera, Andrew Jackson Dawis, który w transie napisał mnóstwo dzieł blisko spokrewnionych z utworami Galna i Swenborga, z którymi pozostawał w swoich wizjach w ustawicznym kontakcie nie tylko z nimi, ale wogóle z duchami wielkich okultystów, a już trzeba heroicznego zaparcia się siebie, by się przedostać przez chimerycznie poplątaną, w nieprzedarty gąszcz, zbitą dżunglę, w delirycznych wizjach poczętych wywodów, do których rzadko tylko przedziera się jakiś promień oślepiającej jasności — otóż ruch ten. który w Ameryce wywołał silne wstrząśnienie umysłów około roku 1848, przedostał się niebawem do Anglji, gdzie fanatyczna zwolenniczka spirytyzmu madame van de Weyer, osobista przyjaciółka królowej Wiktorji, wprowadziła spirytyzm do zamku królewskiego i tem samem do wszystkich salonów najwyższej arystokracji, a słynne medjum Eglinton i równie niemniej słynny Home święcili olbrzymie triumfy.

...wnioski, jakie naukowo całkiem nieprzysposobieni, niedokształceni spirytyści... na podstawie tych zjawisk wyciągają, są boleśnie śmieszne".

Reymonta, na szczęście, nie zawiódł spirytyzm na manowce, ale nie został bez wpływu.

Odżył „magnetyzm serca"!

Marzenia i majaczenia, przegonione przez spirytyzm w kąt, w niebyty absurdu ,wróciły i weszły w modę.

Kilka osób splatało się z sobą palcami i opierało je na powierzchni stolika lub ekierki, ułożonej na środku narysowanego na papierze koła z literami alfabetu na obwodzie. Dreszcz przenikał oczekiwanie. Półgłosem, aby nie płoszyć ciszy, zadawano pytania, a w odpowiedzi ekierka wskazywała na papierze litery, lub stolik pukał nogą, tak lub nie. Zgadywały przeszłość, przepowiadały przyszłość, nawiązywały łączność między światem żywych a światem zmarłych.

Z czasem stoliki i ekierki magnetyczne ustąpiły zwycięskiej rywalizacji medjów.

Seanse z udziałem medjów dawały pewność niewątpliwą. Działy się cuda.

Uczony Juljan Ochorowicz odbywał doświadczenia z słynnem w Europie medjum Eusapią Palladino, która na żądanie przywoływała cienie wędrujące za tamtym brzegiem, a pokój podczas seansu zaciemniony, ozdabiała pękami kwiatów i napełniała muzyką sfer. Drugi wtajemniczony, doktór Watraszewski, (Habdank), za pośrednictwem swego medjum miewał wywiady z papieżem Grzegorzm VII, Napoleonem i Mickiewiczem.

Sztuczki Eusapji zdemaskowano, ale nie dało się zaprzeczyć rzeczywistości innych zjaw i „aportów".

W fragmentach pism Andrzeja Niemojewskiego, opisane i zaopatrzone kilku ilustracjami, są seanse z p. M., dziennikarzem, medjum o wyjątkowej mocy materjalizacji. Ledwo medjum zapadło w sen kataleptyczny, już nikłe, jasne, wilgotne ręce „ducha" dotykały uczestników seansu. Porcelanowa figurka Japonki wstawała z biurka, przeobrażona w postać naturalnej wielkości. Na podłodze zasiadał Turek w białym turbanie. W powietrzu trzepotał ogromnemi skrzydłami orzeł. Otwarta maszyna do pisania wystukiwała poematy.

Było się nad czem zadumać.

Kółko wyznawców, publicysta pan Chłopicki, doktór Świda i baronowa Hartingh wydawało tygodnik „Świat duchów". a

Psychoza rozpanoszyła się w umysłach i porywała je w swe drapieżne szpony.

Na szpalty dzienników przemykały terminy „nowej nauki", ciało astralne, świat nadzmysłowy, jasnowidzenie, czwarty wymiar jako pojęcia na codzienny użytek. Pojawiały się medja, prawdziwe i fałszywe. O niczem innem nie mówiono.

Klasycznym świadectwem tej atmosfery jest powieść Prusa „Emancypantki".

Prus, z właściwą mu pobłażliwością, wypowiadał się słowami osób powieści. I tak piękny Kazimierz Norski mówi do panien, że „pozaświatowe teorje są obmyślone dla pociechy biedaków". Profesor Dębicki twierdził, że nam „tak brakuje odpowiednich umysłów do ujęcia świata nadzmysłowego, jak ostrygom słuchu do zachwycania się naszemi operami, a wzroku do oceniania piękności naszych krajobrazów". Amerykanka, pani Arnoldowa, wyznaje spirytyzm jako religję, która „pozwala utrzymywać stosunki ze zmarłymi". Czuje się na tamtym świecie, jak w domu, i z pomocą znajomego spirytysty „z obłąkanymi oczyma" wyczynia cuda à la Eusapia Palladino.

Nie wszystko jednak w tych nastrojach było urojeniem lub uszustwem, gdy nadarzyło się medjum autentyczne, wprost fenomenalne. Ów młody, nazwiskiem Guzik, czeladnik kuśnierski, odegrał w dziejach tej obłędnej manji rolę, na swój sposób, historyczną.

Chciano w seansach z nim widzieć związek ze światem zagrobowym i wogóle mieć możność przedarcia się za zasłonę wielkiej tajemnicy. Człowiek już nie miał trwać w nieświadomości, jak robak w ziemi. Wystarczyło zamówić Guzika, aby za skromną opłatą móc wiedzieć wszystko.

W tym celu zawiązywały się zespoły towarzyskie.

W mieszkaniu najprzedziwniejszego, jaki był na polskiej scenie, artysty dramatycznego, Kazimirza Kamińskiego, bywali jego koledzy z teatru, Roland, Frenkiel i świadom z podróży po Indjach nauki jogów, książę Konstanty Lubomirski.

I Reymont.

Reymont był naturą zdrową, jak kamień, anielsko ufną, o wyobraźni płonącej i gigantycznej.

Jan Lorentowicz w swej książce wspomnień „Spojrzenie wstecz", w rozdziale „Reymont w Paryżu" opowiada — „miał długie, obcięte pod prostym kątem włosy i połyskiwał wysokiemi aż do kolan cholewami... W rozmowach z nim stwierdziłem odrazu, że mam do czynienia z człowiekiem bez żadnego wykształcnia".

Tak było naprawdę.

Ale może właśnie dzięki brakowi wykształcenia metodycznego, Reymont, samouk, zachował swą wrażliwość pierwotną? Z biegiem lat praca myśli urobiła jego rysy w kształt pełen wyrazu, głowę nieledwie fantastyczną, głowę lwa, z władczym sklepieniem czoła. I gdy zmarszczył brwi i nerwowemi odruchami rąk nastroszył czuprynę, to bezwiednie narzucało się porównanie do głowy lwa.

W opisie jego wyglądu i sposobu bycia możnaby zastosować to, co w książce „Zrywam z nauką", autor C. P. Snow mówi o pewnym wynalazcy — „posiadał wiele cech właściwych genjuszom; wyglądał dziwacznie tak, jak powinien wyglądać człowiek genjalny; rozmawiał z niewiarygodną łatwością tak, jak to czyni genjusz, albo znów. jak genjusz milczał uparcie".

Zetknięcie się ze światem „duchów“ za pośrednictwem niewyczerpanego Guzika, iskry świetlne, przelatujące w ciemności w czasie seansu, niesamowite ruchy sprzętów, widok sobowtóra medjum i głos tego sobowtóra, senny i głuchy, działały na Reymonta oszałamiająco. O ile z usposobienia pogodny, wesół, najmilszy towarzysz i gościnny gospodarz, lada konceptem cieszył się z naiwnością dziecka, to po seansach, nim otrząsnął się z otrzymanego wrażenia, milczący, blady jak śmierć, nieprzytomny, pragnął, jak Faust, zatrzymać chwile, niknące w przepastnych otchłaniach czasu.

Powodów do zastanawiania się nad źródłem tych dziwów było coraz więcej.

Malarz-medjum z Litwy, pan Grużewski, młodzieniec z brodą, ubrany w granatową czamarkę, nie odmawiał zaproszeniom w krainę czarów, i w transie auto-hipnozy rzucał w ciemnym pokoju na papier sylwety i profile upiorów, albo znów ,w ekstazie pół-snu, pół-zjawy, wygłaszał białym wierszem, w stylu romantycznym objawienia.

Także wówczas bywał w Warszawie Kazimierz Radwan. Na publicznych w sali Filharmonji seansach zgadywał w lot myśli słuchaczów i kilku magnetycznemi pociągnięciami pozbawiał ich woli.

Reymont pragnął przeniknąć zewnętrzną stronę tych zjawisk. W powieści okultystycznej „Wampir“, wydanej po zapoznaniu się z grupą okultystów w Londynie, wypowiedział zaledwie cząstkę tego, co przeżywał.

Podczas zbierania materjałów naukowych do trylogji historycznej miewał, jak mówił, halucynacje. Nawiedzały go duchy wybitnych postaci tej epoki Król Stanisław August, książę Józef Poniatowski, Kołłątaj i postacie Wielkiego Sejmu. Opowiadał o tem z werwą, nieco podejrzanie dokładną plastyką i teatralnym gestem.

Umiał te odwiedziny z zaświatów odtworzyć i odegrać.

Był przecież kiedyś aktorem.

Wiara w wizje dodawała niemało podniety jego pracy bezustannej, żmudnej, mimo ostrzeżeń lekarzy, zabijającej.

Adam Grzymała Siedlecki scharakteryzował mechanizm reymontowego myślenia jako „uporczywe zmaganie się z językiem, by jak najoszczędniejszą stylistyką, o jak najściślejszym wyrazie, oddać zmysłami odbieraną rzeczywistość. Jedno i to samo zdanie powtarzane tylekroć, by nareszcie dojść do wyniku, który już będzie kryształem wytopionym z rudy. I do końca swej karjery pisarskiej każde dzieło przeprowadzał przez taki sam p r o c e s pracy“.

Po powieści „Komedjantka“, w y r o s ł e j na gruncie przygód młodości i po „Fermentach“ i „Ziemi obiecanej“, będących refleksem spostrzeżeń i poglądów społecznych, poświęcił się studjom nad folklorem polskim dla budowy arcydzieła „Chłopi“ i studjom historycznym, przyczem coraz silniej uwydatniały się pierwiastki jego natchnienia.

Do ostatnich dni życia, zgasłego nagle, — pracował nad (dotychczas z niewiadomych powodów niewydaną drukiem) powieścią amerykańską, z myślą o nawiązaniu jedności emigracji z Polską.

Seansów spirytystycznych wyrzekł się.

A gdy go kto o te minione zaintsreowania z a g a d n ą ł, to zwyczajowym, nerwowym odruchem przegarniał włosy i lekceważąco machał ręką.

Antoni Wysocki.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

— Jak to w Ameryce ładnie... musi przyznać wraz z nami każdy zbieracz, który otrzymuje komunikaty od Ministerstwa P. i T. w USA. Przed wydaniem jakiejkolwiek nowości wydaje się odpowiedni komunikat (w 30.000 egzemplarzy) opisujący najdokładniej dany znaczek, zawiadamia się kiedy i gdzie będzie on pierwszy raz do nabycia, a sztuki wyborowej jakości dla wybrednych filatelistów dostarcza na żądanie „Philatelic Agency“.

Równocześnie wraz z komunikatem wysyła się listę znaczków, które są do nabycia po cenie nominalnej z dawnych zapasów. Prostujemy w tem miejscu wiadomość, jakoby Krakowskiemu Zw. Fil. przyznano tylko po jednej serji bloków na członka, gdyż przydzielono w rzeczywistości „aż“ po dwie serje. Natomiast jeśli ktoś tylko może wysłać pieniądze, otrzyma wprost z poczty w Waszyngtonie tyle bloków USA, ile tylko zapragnie. Blok ten jest powtórzeniem najwyższej wartości z serji Parków Narodowych (10 c.), tylko w zielonym kolorze. Jest on nieząbkowany, nie pobiera się przytem żadnej dopłaty na cele dobroczynne — a w około znaczka umieszczone są napisy, mówiące o powodach wydania. (Zjazd filatelistów).



W górnym rzędzie (od lewej): Najnowsze znaczki Szwajcarji, Belgji i Danji, poniżej: Stanów Zjednoczonych.

Otrzymaliśmy, jak zwykle, od p. Józefa Bronowicza najnowszy znaczek, emitowany w 150-lecie ogłoszenia pierwszej Konstytucji na świecie. Jest to minjatura słynnego po tamtej stronie oceanu obrazu Stearns'a, przedstawiającego podpisanie epokowego aktu w Independence Hall w Filadelfji, 17 września 1787. Francja uczciła również tę rocznicę nowym znaczkiem, ale w gruncie rzeczy projekt naszej Izby Handlowej, by pójść za tym przykładem, jest niezupełnie słuszny i zresztą spóźniony.

Nie trzeba jednak dodawać, że w 150-lecie ogłoszenia Konstytucji 3 Maja musi ukazać się w Polsce znaczek jubileuszowy, przedstawiający oczywiście scenę z obrazu Matejki. Znaczek amerykański reprodukujemy, jako jedno z pierwszych pism w Europie! Ciekawe, że po raz pierwszy widzimy na marce amerykańskiej pęk rózg Liktorskich — symbol władzy. Kolor znaczka jest nieco zmieniony w stosunku do dawnych wydań jubileuszowych — purpurowy.

Inne nowości ostatniego tygodnia nie są naturalnie ani w części tak interesujące. W Belgji wydano 2 nowe znaczki dobroczynne, za 70 c. i 1.75 fr., w Danji przedrukowano markę za 10 öre z okazji Wystawy filatelistycznej (17—26 września) i wreszcie Szwajcarja emitowała nieco dawniej już 4 prowizoryczne znaczki dopłatne, za 5, 10, 20 i 40 rappen.

W. H.



ruje panna Kryńska, zdaje się, jedynie w metryce i na afiszach teatralnych. W szerokich kołach znajomych i przyjaciół, jak i w świecie artystycznym, nosi ta miła i śliczna osóbka bardziej odpowiadające jej imię Luli. Panna Lula z radością przyjmuje nasze zaproszenie.

— Ale trochę się boję — mówi, siadając z powagą na zaimprowizowanym „tronie".

— O, to nie jest znów tak straszne! — uspokajam sympatyczną „delikwentkę".

— A co ja mam mówić?

— Nic, tylko prawdę, szczerą prawdę, nie ukrywając niczego, co jest jej wiadomem — cytuję słowa przysięgi. — A więc przedewszystkiem, gdzie pani odbywała studja dramatyczne?

— Nigdzie, egzamin zdawałam w Piście jako eksternistka.

— Co panią najwięcej pasjonuje w życiu?

— Cóżby, jak nie sztuka i teatr! — odpowiada młoda artystka, tym razem już z nieudałym zapałem. — Kocham „grać!". I jestem szczęśliwa, że pracuję w Teatrze Jaracza, w tym wysoko wartościowym przybytku sztuki, w atmosferze koleżeńskości, zapału do pracy i ukochania sceny, którą stwarza swą osobą mistrz Jaracz. Ubóstwiam naszego „majsterka", jak ogólnie nazywamy naszego dyrektora.

— A jakie ma pani zainteresowania życiowe poza teatrem?

— Och, jest ich bez liku — śmieje się panna Lula. — Lubię podróże, niestety tej pasji nie mogę nadużywać z powodu braku czasu. Czytam dużo, w beletrystyce jestem bardzo wybredna, wolę raczej poważne i naukowe książki. A poza tem wszystkiem, skoro złożyłam przysięgę, że mówić będę szczerą prawdę, muszę się przyznać, że strasznie lubię dobre „kawały", no i bridża, lubię się bawić, tańczyć... To już chyba wszystko!

— Jeszcze jedno pytanie. Czy pani jest córką pani Schmidt-Kryńskiej, tej sławnej primadonny oper kijowskiej, petersburskiej, odeskiej?

— Tak jest — odpowiada z dumą panna Lula. Moja matka prowadzi obecnie szkołę śpiewu w Warszawie. Żałuję tylko, że niestety nie oddziedziczyłam po mojej matce jej cudownego głosu. Potrafię sobie coś tam zaśpiewać, ale to już nie to.

Zabawa skończona. Żegnam pannę Lulę i jej towarzyszki garderoby.

— Ach, jeszcze o jednem zapomniałam, a to przecież najważniejsze — woła za mną panna Lula. — W najbliższej przyszłości gram piękną rolę Marji Ludwiki w „Napoleonie" z Jaraczem w tytułowej roli. Strasznie się cieszę z tej „królewskiej" roli!

Z. Ord.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM

ELŻBIETA KRYŃSKA

W poszukiwaniu dalszych towarzyszy do naszej artystycznej zabawy w cenzurowanego, zachodzę do Teatru Jaracza, który swój nowy sezon rozpoczął wznowieniem doskonałej sztuki „Ludzie na krze".

W roli Hani, kandydatki na gwiazdę kinową, zwraca uwagę olśniewającą urodą i nieszablonowem ujęciem postaci nowoczesnej dziewczyny, cierpiącej na „kompleks" sławy filmowej, młoda artystka Elżbieta Kryńska. W tej roli miała p. Kryńska sposobność popisania się i poza Warszawą w kilku większych miastach Polski, podczas letniego objazdu Teatru Jaracza. Poza tem kreowała artystka z niemniejszem powodzeniem w tej imprezie, rolę Anetki w „Woźnym i ministrze".

Obydwie te role, jak również Loli w „Trafice pani generałowej", granej w Teatrze Malickiej, wykazują niezbicie wielkie postępy, jakie ta młoda artystka poczyniła od czasu swych pierwszych kroków na scenie teatru Ateneum przed pięciu laty jako Dżina w „Krzyku" i w awangardowej sztuce „Typ A".

Pod oficjalnym imieniem Elżbiety figu-



Panna Lula cieszy się wielką sympatją gołębi krakowskich.

HENRYK VOGLER

TAJEMNICA ALFREDA GODZIEMBY

N O W E L A

I.

Sprawa Alfreda Godziemby była jedną z najbardziej zawikłanych zagadek kryminologicznych ostatnich czasów. Przez długie miesiące pasjonowała ona umysły najtęższych detektywów Polski i zagranicy, prasa całego kraju pełna była podówczas najśmielszych hipotez i alarmujących wieści. Całe społeczeństwo brało udział w tym emocjonującym pościgu, w rozplątywaniu największej tajemnicy ostatniej doby, w rozwiązywaniu zagadnienia, które było równaniem matematycznem o samych niewiadomych. Niewiadomy był zbrodniarz, przyczyna zbrodni, sposób jej dokonania i wreszcie niewiadomy był los ofiary.

Poruszenie opinji było tem większe, że Alfred Godziemba był jedną z najbardziej znanych postaci w kraju. Młody urzędnik w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zwrócił na siebie uwagę niezwykłemi zdolnościami. Nic dziwnego, że począł się piąć coraz wyżej po szczeblach karjery, coraz częściej na łamach prasy pojawiała się fotografja, ukazująca młodzieńczą, szeroko roześmianą twarz o wysokiem czole, z lśniącą czupryną czarnych gładko zaczesanych włosów. Poczęto już przebąkiwać o mających nastąpić zmianach na czołowych stanowiskach w Ministerstwie, o czekającej jakoby Godziembę tece ministra — gdy naraz zdarzyła się ta niesamowita tragedja.

Oczywiście rozpoczęto natychmiast energiczne śledztwo. Szeroki ogół zapłonął oburzeniem, słusznie uważając, że w kulturalnem państwie nie powinna mieć miejsca niewykryta zbrodnia i do tego zbrodnia tego rodzaju, popełniona na takim człowieku. — A że dołączał się do tego wiew tajmnicy, otaczającej tę sprawę, element emocji i zwykłej arcyludzkiej ciekawości, nic więc dziwnego, że śledztwu towarzyszyło niezwykłe zainteresowanie obywateli, z których niemal każdy próbował na własną rękę rozplątać zagadkę. Ale wszystko było naprożno. Darmo sieć najwytrawniejszych agentów pod rozmaitemi przebraniami przemierzała Polskę jak długa i szeroka, darmo telegraf, prasa, radjo zmobilizowały całe społeczeństwo do energicznego pościgu, darmo żona Godziemby, nieszczęśliwa jasnowłosa kobieta, łożyła wysokie sumy na poszukiwanie. Po Alfredzie Godziembie wszelki ślad zaginął.

Mijały tak miesiące, sprawa poczęła już przycichać, zainteresowanie zwolna gasło i nienasycony moloch pospólstwa jął szukać powoli innego żeru, uważając widocznie, że rozwiązanie zagadki jest przesądzone. — Wówczas na widowni ukazał się Ralf Sochor.

Sochor był detekywem z rodzaju tych, których bujna wyobraźnia romansopisarzy czyni często bohaterami sensacyjnych powieści, ale których tak rzadko spotyka się naprawdę w życiu. Wszyscy zapewne pamiętają zagadkę czarnych pereł hrabiny Gordon albo tajemnicze zabójstwo na placu Trzech Krzyży, sprawy, w których splot wypadków był tak zagmatwany, że — wydawało się — tajemnica ich pozostanie na zawsze nierozwiązana. Właśnie Ralf Sochor był tym, który genjalną intuicją i niezwykłą zdolnością logicznego, niemal matematycznego rozumowania wpadł na trop przestępców, znalazł ich tam, gdzie ich najśmielsza fantazja nie szukała. Bo Ralf Sochor interesował się tylko sprawami, które uderzały. swoją niezrozumiałością, w których można się było doszukać wątku najelementarniejszych ludzkich namiętności, splątanych w dziwaczne węzły, gdzie oprócz istotnych — rzeczby można: normalnych — składników zbrodni, czai się nieuchwytny irracjonalny pierwiastek, ferment „dziwności", którym zaprawiony suchy „stan faktyczny" rozciągał się pod rękami policji w lepką kleistą masę niewykrytego przestępstwa. Proste sprawy zostawiał Sochor policjantom, tym — jak ich trochę drwiąco nazywał — „rzemieślnikom sprawiedliwości". On był artystą w tym fachu.

Taki to człowiek ujął w swoje ręce sprawę Godziemby. W chwili, gdy reprezentanci władz bezpieczeństwa rozłożyli bezradnie ramiona, gdy szary pył począł zwolna narastać na grubej tece aktów z czerwonym napisem „Godziemba" — gazety całej Polski rozniosły triumfalnie sensacyjną wiadomość: Ralf Sochor zaczyna działać!

II.

Pierwsze swe kroki skierował Sochor do mieszkania Godziemby. Przyjęła go pani Zosia Godziembina, niewiasta młoda o jasnych włosach i błękitnych oczach, patrzących trochę naiwnie i dziecinnie przed siebie. Teraz były one przesłonięte jakby mgłą melancholji, a sine obwódki świadczyły o ciężkich przejściach ostatnich tygodni.

— Cieszę się, że pan przyszedł — powiedziała z prostotą, gdy zasiedli za stołem. — Od samego początku, gdy tylko „to" się zdarzyło, wiedziałam, że pan jeden tylko może tu pomóc. Czekałam na pana, byłam pewna, że pan przyjdzie. Niech pan powie, panie Sochor, czy jest jeszcze jakaś nadzieja?

Detektyw siedział w milczeniu. Grube i krótkie jego palce wybijały na poręczy krzesła takt marsza, szare pospolite oczy niemal w zupełności nakryte nabrzmiałemi, jakby trochę opuchłemi powiekami, zdawały się tonąć w błogiej drzemce. Ale kto znał znakomitego agenta, ten wiedziałby, że mózg jego funkcjonuje teraz sprawnie jak maszyna, oczy zaś napozór schowane pod powiekami obserwują i zapamiętują wszystko dokoła: wykwintny pokój wyłożony wspaniałemi, ręcznie tkanemi dywanami, oszklone szafy i gablotki, w których poustawiane zgrabnie lśniły kosztowne cacka, dostatek, spokój, wygodę, szczęście domowego ogniska, którego duch uleciał w tak zagadkowy sposób.

Wreszcie po długiem milczeniu przemówił:

— Niech pani będzie spokojna — zaczął wolno — zrobię wszystko, co jest w mej mocy. Wie pani, mam taki nieomylny instynkt, który odzywa się we mnie zawsze, gdy natrafiam na zbrodnię, poza którą kryje się węzeł najfantastyczniejszych zagadek i tajemnic. I ten instynkt powiada mi w tym wypadku, że ta sprawa będzie jedną z najbardziej sensacyjnych w mojem życiu. Przepraszam bardzo — dodał miękko, nagle ściszonym głosem — że z taką fachową obojętnością wypowiadam się o zdarzeniu, które dla pani jest bolesnem przeżyciem, ale — pani rozumie: jestem fachowcem.

Pani Zosia skinęła głową. Zachodzące słońce wpadło przez rozwarte szeroko okna, trysnęło na ścianę jesienną czerwienią, jak strugą ciepłej krwi, na chwilę ponad głową młodej kobiety zajaśniała jakby szkarłatna plama. Detektyw nie spuszczał z niej przymrużonych oczu.

— A teraz — ciągnął dalej spokojnie po chwili przerwy — czy mogę zadać pani kilka pytań?

— Proszę — odpowiedziała młoda kobieta i przysunęła detektywowi pudełko papierosów. Sochor wyjął jednego. Był to „Dames". Nieznacznie, niemal niewidocznie ścisnął go między palcami. Kilka okruszyn tytoniu spadło na podłogę. Wówczas Sochor włożył papierosa do ust i patrząc uporczywie w Godziembinę, zapalił.

— Streszczę przedtem to, co wiem z relacyj dziennikarskich, jakoteż z dotychczasowych prywatnych badań. A więc w Zarytem, małej wiosce podgórskiej, w której przebywaliście państwo na wypoczynku letnim, w nocy z dnia 25 na 26 sierpnia znikł w sposób dotąd niewytłumaczony mąż pani Alfred Godziemba, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. A teraz proszę uważać: Chciałbym wiedzieć, kiedy pani spostrzegła zniknięcie męża?

— Wstałem jak co dzień o godzinie siódmej — mówiła znużonym głosem pani Zofja. Widać było, że te pytania stawiane jej tylekroć w ostatnich tygodniach są już dla niej znane napamięć, odpowiadała na nie na pół automatycznie, z widoczną przykrością — i rozpoczęłam codzienną krzątaninę. Nie zauważyłam nic podejrzanego. W całej willi (jest to willa, którą Alfred kupił w tym roku, położona niemal na odludziu) panował spokój, cały świat zdawał się oddychać błogością, a i ja właśnie tego ranka byłam przeniknięta bezbrzeżnem uczuciem szczęścia. Czyż mogłam przypuszczać, że właśnie tego ranka uczynię to straszne odkrycie?...

— Przepraszam — przerwał sucho detektyw. Ręka pani Godziembiny sięgnęła po papierosa. Na wskazującym jej palcu błysnął kamień o barwie głęboko morskiej zieleni. Bystre oko detektywa dostrzegło, że jest pęknięty przez pół. — Przepraszam — ciągnął dalej po niedostrzegalnie krótkiem wahaniu. — Pani powiedziała, że właśnie tego rana była pani bezbrzeżnie szczęśliwa. Czy można wiedzieć, dlaczego prawie tego rana?

Na twarz młodej kobiety wystąpił lekki rumieniec. Sochor udał, że tego nie widzi.

— Czy muszę?... Zresztą dobrze. Pan powinien wszak być poinformowany o wszystkiem. A więc trzeba panu wiedzieć, że my... to jest ja z mym mężem kochaliśmy się bardzo. To trudno tak o tem mówić, ale wątpię, czy znalazłoby się jeszcze dwoje ludzi tak związanych ze sobą, tak nawzajem sobie oddanych, tak znających się na wylot i... i tak szczęśliwych, jak my. Może to grzech być tak szczęśliwym? Może to się zemściło?... Otóż — wracając do rzeczy — w dzień poprzedzający tę nieszczęśliwą noc przeżyliśmy jedną z najpiękniejszych chwil naszego małżeństwa. Nigdy nie zapomnę tego dnia pełnego blasków słońca i zapachów kwiecia. Był to jeden z tych dni, podczas których dochodzi się wreszcie do zrozumienia tej ostatecznej prawdy, że świat jest piękny, że jest architektonicznie doskonałym, artystycznie bez najmniejszego zarzutu skomponowanym utworem Boskim. Nie wiem, czy pan rozumie, jak dobrze się człowiek czuje z tym bezcennym skarbem poznania w piersi, gdy żadna chmurka nie mąci soczystego błękitu nieba, gdy wokoło igrają zdrowe piękne dzieciaki, a ukochany i kochający mąż wodzi za mną ciepłem spojrzeniem. Nie zapomnę nigdy tego ostatniego spędzonego z nim popołudnia. Stał przy oknie, patrzył na rozpościerające się przed nim pasmo pól, tajemniczo szumiący las, majaczejący w oddali łańcuch gór — i wiedziałam, że czuje w tej chwili to samo, co ja, rozpiera go ta sama radość życia, tak, byłam tego pewna, znaliśmy się przecież tak dobrze. Przysunęłam się do niego i długo patrzyliśmy razem na cudowny krajobraz. Powiedział tylko jedno słowo: Widzisz? — a wówczas ja skinęłam potakująco głową. Na co nam była niepotrzebna gadanina? Serca nasze biły razem równo i spokojnie, byliśmy jednem. Potem nadszedł wieczór i rozeszliśmy się. Alfred poszedł na piętro do swego pokoju, ja zostałam jeszcze przy dzieciach i niedługo później, szczęśliwa jak nigdy, udałam się na spoczynek. Czy teraz pan rozumie to wszystko, co mnie wypełniało, gdym się obudziła nazajutrz rano, a potem to uczucie, które mnie ogarnęło, gdy niedługo potem przekonałam się o strasznym ciosie?

Duże łzy ukazały się w pięknych oczach kobiety. Znakomity detektyw, który cały czas słuchał uważnie — wstał nagle. Czy wiedziony wrodzoną delikatnością chciał pozostawić przez chwilę młodą kobietę sam na sam z jej bólem, czy też niespodziewanie zainteresowany czemś — stanął przed szafką zawierającą moc cennych, szklannych, porcelanowych, kryształowych klejnocików. Między niemi znajdowała się figurka, wyobrażająca jeźdźca na koniu. Trzeba było wnikliwego spojrzenia Sochora, by zauważyć, że w wyprostowanej dłoni jeźdźca znajduje się malutki otwór. Widać jeździec dzierżył swego czasu w dłoni jakiś przedmiot, który obecnie zniknął. Pełen wzrastającego zaciekawienia patrzył detektyw długo poprzez szybę. Naraz w pokoju zapadła dławiąca cisza i detektywowi zdało się, że czuje na sobie natarczywy wzrok. Nie odwracając się rzucił nagle pytanie:

— Kiedy pani to zauważyła?

Nastało milczenie. A potem dał się słyszeć spłoszony, trwożliwy głos:

— Oo, co?... Przepraszam..., co zauważyłam?

Detektyw obrócił się powoli ku pytającej. Podszedł do stołu. Usiadł zpowrotem na swojem miejscu. Przysunął sobie pudełko z papierosami i długo wybierał. Potem ostrożnie zapalił. Wypuszczając głębokim wydechem niebieski dym z płuc odpowiedział spokojnie.

— Ano, rozumie się, to nieszczęście. Kiedy pani zauważyła zniknięcie męża? Jest to zresztą pytanie, na które pani dotąd nie odpowiedziała.

Lekkie westchnienie dobyło się z piersi pani Zofji. Sochorowi wydało się, że było to westchnienie ulgi. Po czem usłyszał szybką odpowiedź:

— Mąż mój budził się zwykle nie wcześniej jak koło dziewiątej. Ja zaś, jak panu powiedziałam, wstałam już o siódmej, tak że z początku nie miałam najmniejszego powodu do niepokoju. Lecz gdy minęła godzina dziesiąta i później, a z jego pokoju nie dolatywał żaden odgłos, udałam się na górę. Jeszcze wciąż nie byłam niespokojna, ale ów cudownie błogi nastrój z przed chwili znikł już. Stanęłam przed drzwiami i zawołałam po cichu. Nikt mi nie odpowiedział. Śpi jeszcze — pomyślałam. Otwarłam lekko drzwi, weszłam na palcach, spojrzałam i — stanęłam jak wryta. W pokoju nie było nikogo.

— Proszę, niech pani opowiada dalej! — zachęcał detektyw, gdy nieszczęśliwa kobieta przerwała na chwilę. Bębnił znowu palcami po poręczy, a w przysłoniętych powiekami źrenicach igrały niedostrzegalne ogniki.

— W pierwszej chwili stanęłam, jak rażona gromem. Było to tak niespodziewane, że nie mogłam przez dłuższy czas zebrać myśli. Potem w ułamkowem mgnieniu sekundy poczęły mi przepływać przez mózg najrozmaitsze przypuszczenia. Może zajęta przy dzieciach nie zauważyłam, jak wyszedł? Może wstał wyjątkowo przede mną i poszedł na spacer? Może... może... ale naraz spojrzenie moje padło na łóżko i w tym momencie uświadomiłam sobie: na tem łóżku nikt dziś nie spał!

— Tak — ciągnęła dalej Godziembina po chwilowej przerwie. — Posłanie było nie naruszone, tak jak przygotowane wczoraj wieczorem, wszystko zostało tak samo, jak było poprzedniego dnia. I nikogo w pokoju. Można było oszaleć.

— Resztę pan chyba zna. Zaalarmowałam wioskę, urzędy, wieść rozniosła się natychmiast po całej Polsce. I nic. Kamień w wodę! Do dnia dzisiejszego nikt nie potrafi wytłumaczyć, co się z nim stało. Może pan...

Sochor tymczasem trwał w głębokiej zadumie. Siedział nieruchomo na krześle z wygasłym papierosem w ustach i myślał intensywnie. Wreszcie uniósł głowę i zapytał:

— Jeszcze jedno. Czy nie zauważyła pani przed tem nieszczęściem jakiejś zmiany w usposobieniu męża, w jego zachowaniu się?

— Absolutnie żadnej. Powiedziałam już panu, że znaliśmy się tak dobrze, iż wyczuwaliśmy natychmiast najdrobniejsze odchylenia w naszej normalnej psychice, poznawałam momentalnie najmniejszą zmianę humoru Alfreda, znałam jego myśli, zanim je jeszcze wypowiedział, a nawet gdy ich nie wypowiedział. I wykluczam stanowczo zmianę, o której pan wspomina.

— A może zauważyła pani coś podejrzanego na zewnątrz, jakichś nieznanych pani osobników w pobliżu?

— Wykluczone. Komisarz Ruslin, który prowadził początkowo śledztwo, wysuwał hipotezę, że być może Alfred na tych wakacjach poznał kogoś, który w ów fatalny wieczór, 25 sierpnia, gdy Alfred udał się na górę, przyszedł pod willę i zawołał na niego, a gdy Alfred zeszedł, zaczaił się i unieszkodliwił go w jakiś sposób, może w celach rabunkowych. Ale pomijając to, że z szaf i szufladek Alfreda nie zginęła najdrobniejsza nawet kwota pieniężna, wszystkie klejnoty i kosztowności pozostały nienaruszone, pomijając to, że byłabym zauważyła względnie usłyszała, gdyby coś takiego miało miejsce — to wyłączam z całą stanowczością, aby mąż mój poznawał kogoś na tych nieszczęsnych wakacjach, by przebywał choćby przez chwilę z kim innym poza mną i dziećmi. Poza tem nie zauważyłam nigdy niczego podejrzanego, willa nasza — jak panu mówiłam — stoi na uboczu i z okien jej rozpościera się widok na całą niemal dolinę. W to pamiętne popołudnie, o którem panu wspomniałam, gdy staliśmy przy oknie, nie widać było, jak okiem sięgnąć, ani żywej duszy. I tak było codziennie.

— Dziękuję pani. To wszystko, co chciałem wiedzieć — powiedział detektyw i wstał. Całując na pożegnanie rękę pani Zofji, spojrzał raz jeszcze uważnie na pierścionek z pękniętym zielonym kamieniem. Potem spojrzenie jego niby przypadkiem pobiegło ku gablotce i zatrzymało się na chwilę na figurce jeźdźca. Niedostrzegalny uśmiech zarysował się koło jego warg. Wyprostował się i powiedział głośno:

— A teraz jadę do Zarytego. Muszę jeszcze oglądnąć tę willę. Pojutrze będę tu zpowrotem, a za tydzień od dnia dzisiejszego spodziewam się ujrzeć Alfreda Godziembę zdrowego i całego przy pani.

Ciąg dalszy na str. 12-tej

...WŚRÓD DRZEW SNUŁA SIĘ MGŁA JESIENNA... *Fot. dr. P. Wolff.*



III.

Na drugi dzień po opisanych wyżej wypadkach znalazł się Ralf Sochor w Zarytem i zaraz udał się w drogę do willi. Od starej kobiety, która mieszkała w pobliżu i której — na czas nieobecności Godziemby — była powierzona opieka nad willą, otrzymał klucze, ale na propozycję detektywa, by mu towarzyszyła i oprowadziła po willi, staruszka, kreśląc kilkakrotnie szybkie znaki krzyża, stanowczo odmówiła. Od czasu owego tajemniczego nieszczęścia czy zbrodni, willa Godziembów cieszyła się złą sławą. Miejscowi chłopi pokazywali ją ze zgrozą z daleka chciwym sensacji turystom, powiadano nawet, że nocami tam straszy. Ale to już były prawdopodobnie tylko takie babskie gadaniny.

W każdym razie skutkiem tego Sochor musiał sam orjentować się w terenie, jako też we wnętrzu willi. Z parterem załatwił się szybko, wiedział, że nic tam ciekawego nie znajdzie i badał go tylko pobieżnie, raczej dzięki zawodowej rutynie, niż istotnemu zainteresowaniu. Cała jego ciekawość skierowana była ku tajemniczemu pokojowi na piętrze, do którego Alfred Godziemba wszedł po raz ostatni wieczorem 25-go sierpnia i z którego więcej nie wyszedł, przynajmniej nikt nie wiedział którędy i dokąd. Detektyw zdawał sobie sprawę z tego, że tylko w tym pokoju może znaleźć klucz do rozwiązania zagadki.

Sam pokój był mały i skromnie umeblowany. W myśl zlecenia komisarza Ruisna, żaden sprzęt nie został zmieniony w swem położeniu i wszystko stało tak samo, jak owej chwili, gdy po raz pierwszy wkroczyła zaalarmowana przez żonę policja. Od tego czasu wszystko było już dokładnie przetrząśnięte, każdy pyłek po wielekroć razy był analizowany przez najznakomitszych agentów policyjnych, jak dotąd jednak bez najmniejszego rezultatu i rzeczy nadal stały na swych miejscach w upornem milczeniu, jakby czekały na człowieka, który przyjdzie wreszcie i wydrze im ukrytą w nich, być może głęboko, straszliwą tajemnicę.

Początkowo badania nie zdawały się zadowalać detektywa. Obejrzał dokładnie każdy kąt pokoju, opukał sumiennie solidne dębowe biurko (szuflad nie otwierał, wiedział bowiem, że jeżeli nawet coś tam było, dawno to już oglądnęli jego poprzednicy), od czasu do czasu uczynił jakiś znak w swym notesie, ale wciąż jeszcze nie pojawiał się w kącikach warg jego charakterystyczny uśmieszek.

Zatrzymał się dopiero przy małym żelaznym piecyku, który stał w rogu pokoju. Być może zainteresowały go ślady świeżego stosunkowo popiołu, rozdeptane już wprawdzie i zatarte, ale zawsze jeszcze widoczne. Czyżby tu palono? O tej porze? — pomyślał i nagle rozbłysły mu oczy. Jednym skokiem znalazł się przy piecyku, ukląkł i podniósł w górę drzwiczki. Pochylony począł rozgarniać znajdujący się wewnątrz gruby osad popiołu i zwęglone resztki jakichś papierów. Aż wyciągnął z pod spodu kilka nadgryzionych językami płomieni zapisanych kartek. Wówczas ogarnęło go rozkoszne uczucie triumfu. Wstał z klęczek, usiadł na krześle i chwilę tak pozostawał pełen tej błogości, jakiej człowiek doznaje po spełnieniu trudnej pracy. Wreszcie zaczął czytać.

Kartki te — jak się łatwo można było przekonać — były czemś w rodzaju pamiętnika. Pierwsze strony były niemal całkowicie spalone i dlatego zupełnie nieczytelne. Ale resztę można było dość łatwo odcyfrować. Brzmiała ona w ten sposób:

„...to samo. Znów ten sam wstrząsający obraz, spędzający sen z moich powiek. Nie mogę uciec przed tą postacią. Ilekroć padnie na mnie ten jego straszny, jakby ślepy wzrok, skręcam się z bólu, jak smagnięty biczem i muszę, muszę wciąż od nowa po raz tysięczny i tysięczny, rozpamiętywać mój obecny, niepojęty stan duchowy.

Trzeba było dopiero tego urlopu spędzonego w cichej, zdawałoby się zapomnianej przez ludzi dolinie, trzeba było dopiero tego człowieka, abym sobie uświadomił sens, a raczej bezsens — mego dotychczasowego życia, abym uczuł to dławienie w gardle i ucisk serca, który czuję od paru dni. Kiedy to się zrodziło — nie wiem. Ale zapewne nie rozpoczęło się wtedy, gdy — dwa tygodnie temu — ujrzałem go w zalanym słońcem rowie przydrożnym. Nie, to musiało już istnieć we mnie przedtem, dojrzewać długo, tylko ja, ślepiec, nie widziałem tego, ja, głupiec pełniłem moje szczytne funkcje, piastowałem te rozmaite, pięknie brzmiące godności, stałem na szczytach drabiny społecznej, bawiłem się jak dzieciak błyszczącymi orderami, przerzucałem z namaszczeniem sterty papierów i sądziłem, że to jest ważne, najważniejsze, że to jest życie, że to jest wszystko!

Gdy piszę te słowa, z dołu dochodzą mnie wesołe okrzyki. To dzieci moje bawią się przed domem, a niedaleko nich zapewno krząta się Zośka. Widzę jej błękitne oczy, w których niema ani śladu wątpliwości i kłopotów, w których świat odbija się nieskomplikowany i prosty, świat który jest stworzony tylko na to, by jej dostarczał małego poziomego szczęścia. Ach, jak niedawno jeszcze i ja byłem taki sam. A dziś? Czemu ona nie widzi, co się we mnie dzieje? A może lepiej, że nie widzi? Bo gdyby widziała, czyby zrozumiała?

23. VIII.

Mam teraz chwilę wytchnienia. Jego jeszcze niema. Zjawia się dopiero po południu i siedzi w swym rowie do wieczora, kiedy to wypełzły tajemniczo szary zmierzch ściera świat bez śladu, jakby ręka niezadowolonego z rysunku artysty ścierała gumą nakreślone na kartonie obrazy. Ale teraz jeszcze go niema. Czas zebrać myśli, zastanowić się trzeźwo nad sytuacją.

Gdy ujrzałem go po raz pierwszy, siedziałem z przymkniętemi oczyma przed willą, cały w słońcu, spokojny i szczęśliwy. Nie wiem, jak długo to trwało, gdy nagle uczułem w piersi dziwny niepokój. Miałem wciąż jeszcze zamknięte oczy, ale wydało mi się jak gdyby ktoś naraz znalazł się w mojem pobliżu, zasłonił mi słońce. Otworzyłem oczy i ujrzałem go.

Naprzeciw mnie w rowie siedział żebrak. W jednej chwili z niesłychaną dokładnością obejrzałem go od stóp do głów i to nietylko od zewnątrz, ale sięgnąłem także — jakby w nagłem jasnowidzeniu — do wnętrza, aż na samo dno duchowe tego lichego stwora, już nie człowieka, ale jakiegoś odpadka ludzkiego wyplutego z obrzydzeniem przez naturę. I przejrzawszy go w małym ułamku sekundy, zatrzymałem wzrok na jego twarzy. Była to maska raczej, nieruchoma, owrzodzona, pokryta zmarszczkami, upiorne widziadło, jakie czasem w dzieciństwie zjawiało mi się nocami w snach, po których z rozpaczliwym krzykiem szukałem ratunku w ciepłych objęciach matczynych. A w masce tej tkwiły oczy, które patrzyły na mnie. Nie, raczej nie na mnie, ale gdzieś przeze mnie przenikały mnie na wskroś i nie zatrzymując się, biegły obojętnie w nicość. Wydawały się przez to jak pozbawione życia, zanosiłe bielmem i ślepe, — ale równocześnie był w nich wskutek tego jakiś niemy wyrzut, straszna, bolesna skarga. Podchwyciłem to spojrzenie i w tej samej chwili runął w gruzy gmach mojego szczęścia, w którem rozkoszowałem się jeszcze przed chwilą.

Na biedę ludzką czuły byłem zawsze. Podrwiwali sobie trochę ze mnie koledzy, nazywając mnie „romantykiem". Ale nigdy jeszcze nie zetknąłem się z nędzą twarzą w twarz w tak bezpośrednim kontakcie. Nie miałem na to czasu, tak jak zetknąwszy się nawet nie miałbym czasu wyciągnąć z niej konsekwencyj. Tam w mieście byłem zawsze zajęty, od rana do nocy bywałem tak zaaferowany i utrudzony, że nie było nawet czasu zatrzymać się, odetchnąć chwilę, w spokoju i ciszy podumać nad sobą samym, nad człowiekiem i nad światem. A może to właśnie trwoga gnała mnie z jednej pracy w drugą, nie dawała ani chwili wytchnienia, parła ciągle w górę, może to była trwoga przed zatrzymaniem się, trwoga przed temi myślami, które wypełzłyby ze mnie, gdybym na chwilę przestał działać? Nie wiem. Faktem jest, że teraz ujrzawszy tego żebraka — zacząłem myśleć.

Jakiem prawem leżałem rozciągnięty wygodnie na leżaku, pławiąc się w blaskach słońca, gdy obok mnie pod tem samem słońcem dyszał, być może ze znużenia, głodny człowiek? Dlaczego drogi życiowe — moja i jego — które nas obu zaprowadziły do jednego i tego samego miejsca, były tak różne? Jeżeli było to prawo przyrody, to skąd ten bunt, który szaleje we mnie, a jeżeli wadliwy układ społeczny, to czemu się go nie zmienia? Wstałem z leżaka i krok za krokiem cofałem się ku drzwiom willi. Ale oczu nie mogłem od niego oderwać.

I tak się rozpoczęły te dni udręki, które trwają do dzisiaj. Przeminie miesiąc tych wakacyj i co potem? Jakże będę mógł powrócić do mojej pracy, jak będę mógł żyć dalej obok uśmiechniętej żony, wiedząc, że on tu zjawia się codziennie i że na każdym rogu ulicznym we wszystkich wioskach i miastach całego świata, tysiące takich jak on siada i żebrze.

A najgorsze w tem wszystkiem to to, że nie widzę żadnego wyjścia. Zmienić świat? To przecież ponad moje siły, to walka z wiatrakami, a nawet do tego trzeba mieć donkiszotową fanatyczną obłąkańczą pewność siebie i swej sprawy, której ja nie mam. A zdusić w sobie te niepojęte myśli, zdławić wszystkie wątpliwości i stać się dawnym Godziembą z Ministerstwa Spraw Zagranicznych — już nie mogę. Próbuję, staram się, ale każdy dzień, który mija, poucza mnie dobitnie, że to należy już bezpowrotnie do przeszłości i wskrzesić się tego nie da. Więc powierzyłem się losowi i trwając w tych męczarniach czekam, co przyniosą następne dni. Jeszcze 8 dni naszego tu pobytu. Co będzie jutro?

24. VIII.

On dzisiaj zdawał się patrzeć na mnie! Jego niewidzący wzrok jakby mówił coś do mnie. Nie rozumiem tej mowy, ale coś w niej musi być, może pociecha, może rada, może przekleństwo? Jeszcze tydzień. Nie rozmawiam już prawie ze Zośką. Rozeszliśmy się zupełnie. Nigdy zresztą nie znaliśmy się, teraz to dopiero widzę. Zawsze stykaliśmy się jedynie, wspólną nam była jedynie wąska platforma małych codziennych trosk i radości, pod nią zaś u mnie — jak i u niej zapewne — szumi nieposkromiony żywioł cały tajemniczy świat, który teraz wydobył się na wierzch i pochwycił mnie w swoje odmęty, platforma zaś porwana przez huczące morze, roztrzaskała się. Tracę powoli z oczu Zośkę, dzieci, mój dawny świat. I tylko on mi pozostaje. On i jego bracia. Dzisiaj patrzył na mnie. Może jutro przemówi.

25. VIII. przed południem.

Czuję, że dziś będzie koniec. Dziś musi się zdarzyć coś, co rozetnie ten tragicznie splątany węzeł. Zośka rano zaznaczyła mimochodem o niedalekim powrocie do miasta. Tak, już za 6 dni trzeba będzie wyjeżdżać. A jednak ja wiem, że przedtem coś się rozstrzygnie. Nie mogę już doczekać się tej godziny, w której ujrzę go znowu. Bo-

Dokończenie na str. 26-ej



Na lewo: Wieś perska odznacza się oryginalnemi, kopulastemi chatami.

W perskiej palarni opium

Jakiś dziwny zapach mięsza się ze znanym odorem „roghanu“ [1]).

— Czuje pani opium?

Przystaję z zadziwienia.

— Gdzie palą? W „czaj-hane“? [2]).

Od dłuższego czasu szukam okazji zobaczenia tej tak egzotycznej dla mnie „czynności“.

Sama pójść w żaden sposób nie mogę — wszak kobiety wogóle nie przekraczają progów „gave-hane“ — a o towarzysza na tę wyprawę jest, z wielu powodów, trudniej niżby się zdawać mogło.

Tym razem udało się — wchodzimy. Mam wyraźną tremę. „Obrzęd“ palenia opium, jest przecież dla mnie zdecydowanie tajemniczy!

Niska, sklepiona izba, małe ławeczki, olbrzymi samowar i całe rzędy kolorowych czajników. Niema w izbie nikogo. Gospodarz, zaszczycony odwiedzinami „ferenghi“ [3]) kłania się szybko i kilka razy, wskazując drogę do oświetlonego sześciobocznemi latarniami ogródka.

Jest dziwnie błękitnie i nastrojowo. Przez kolorowe szkła padają na ziemię różnobarwne blaski, wysokie platany o srebrzystej korze stoją smukłe i strzeliste jak greckie kolumny, wokół okrągłego basenu, tłoczą się kępy różnobarwnych kwiatów i traw, w górze połyskują i migocą roje gwiazd.

Pod drzewami, koło basenu, siedzą na rozłożonych dywanikach ciemnolicy mężczyźni, popijając herbatę z maleńkich, w metal oprawnych szklaneczek, lub ciągnąc z wysiłkiem i namaszczeniem dym z wielkich, szklannych „kalyenów“ (aparat do palenia tytoniu przez wodę).

Pod ścianą robotnik w błękitnem luźnem ubraniu z farbowanej w indygo bawełny i wielkich białych perskich pantoflach t. zw. „give“, rozkoszuje się tytoniowym dymem przymykając oczy. W kalyenie bulgoce woda, w której — dla ozdoby i zapachu — pływają drobne listki róż.

Mali chłopcy o murzyńskich rysach wnoszą i wynoszą „kalyeny“ i trzymając cybuszek w ustach, rozdmuchują węgielki.

Rozglądam się dość niepewnie wokoło. Wszystkie oczy zwracają się ku mnie z niechęcią i oburzeniem. Jakże! Jestem jedyną w „czaj-hane“ kobietą, a w dodatku „ferenghi“.

Nagle siedząca naprzeciw nas grupa mężczyzn rozsuwa się szybko, tworząc małe półkole. „Pessar“ (chłopiec) wnosi i uroczyście stawia na środku rodzaj płaskiej, metalowej „skrzynki“ na czterech nóżkach, t. zw. „mangal“, gdzie na kupce wygasłego popiołu, leży kilka rozżarzonych węgielków.

Teraz podaje drewniane cybuszki, mające na końcu porcelanową, zupełnie zamkniętą fajeczkę, opatrzoną jedynie z boku małą dziureczką wielkości łebka od szpilki.

Z namaszczeniem obracają palacze „bafur“ nad węglami, jaknajmocniej rozgrzewając główkę, poczem szybko i sprawnie przylepiają tuż obok otworku kawałek opium, odłamany z długiej laseczki, podobnej do bronzowego ołówka.

Przygotowania skończone. Jakby z ulgą palacze prostują się nieco i ująwszy małemi szczypczykami rozżarzony węgielek, trzymają go tuż nad owym kawałkiem opium, jednocześnie zaciągają się mocno leciutkim błękitnym dymem.

Słodkawy, a ostry, upajający a jakiś przytem gorzkawy zapach rozchodzi się w powietrzu. Umilkły nieliczne rozmowy, wyraz błogości maluje się na wszystkich twarzach.

Wystarcza kilka pociągnięć, a zmieniają się twarze, przygasłe oczy poczynają błyszczeć, wygładzają się ściągnięte rysy, gorzkim wyrazem zaciśnięte usta rozchylają się czemś w rodzaju uśmiechu.

Widzę ze zdumieniem, jak nieprawdopodobną ilość czasu przetrzymują palacze błękitny dym w płucach, przymykając oczy i lekko odchylając w tył głowę. Co parę chwil szybko i zręcznie, przetykają otwór fajeczki specjalną igłą, wiszącą na łańcuszku u drewnianego cybucha. Kilku popija przytem herbatę mocną, prawie czarną i prawie bez cukru.

Persowie nie palą opium aż do utraty przytomności, a jedynie odurzają się nim lekko jak alkoholem. Nałóg ten jest znacznie więcej rozpowszechniony niż chcą się do tego przyznać Irańczycy, mówiący o tych sprawach z cudzoziemcem bardzo niechętnie.

Nieraz zdarzyło mi się podróżować z szoferem opiumistą. W ciągu długiej — jakże długiej! — drogi, kilkakrotnie zatrzymywał się przed wiejskim „gave-hane“ i prosząc o parę minut czasu wypalał ulubioną „fajeczkę“.

Trudno się zresztą dziwić. Podróżując

[1]) Tłuszcz barani, na którym smaży się wszystko w Persji. [2]) Herbaciarnia, kawiarnia. [3]) Cudzoziemcy.



Wieśniak perski na plantacji opium.

W kole: ...zwracają się ku mnie niechętne spojrzenia...



W kole: Również chłopi perscy hołdują namiętności opiumowej.



prawie wyłącznie nocą, robi się tu 400—500 km „jednym tchem“ i człowiek śpiący w dzień zaledwie kilka godzin w straszliwym upale, musi szukać sztucznej podniety, by nie zwalić maszyny do przepaści czy nie rozbić jej o skałę.

Opium perskie kosztuje tu ok. 4 rls. za laskę długości ok. 20 cm, a jest jakoby najlepsze na świecie. Gdy przed paru laty Liga Narodów rozpoczęła akcję, dążąc do zniesienia plantacyj opium, dla zwalczenia zgubnego nałogu, rząd irański nie podpisał odnośnego traktatu, 1/5 część dochodów państwowych bowiem stanowiły właśnie zyski z plantacji. Dziś, gdy stosunek wpływów uległ tak radykalnej zmianie, że stanowią one tylko 30-ą część dochodów rządu, przystąpiono już do pewnych ograniczeń.

Siedzący naprzeciw nas palacze popijają teraz herbatę, rozmawiając z ożywieniem. Służący pozbierał już fajki, wewnątrz których zebrał się czarny, błyszczący osad, t. zw. „szire“, produkt jeszcze silniejszy od zwykłego opium; bywa on przerabiany raz jeszcze i często przez najsilniejszych nałogowców spożywany względnie pity po rozrobieniu w wodzie.

Za wynoszącym „mangal“ chłopcem biegnie żałosne spojrzenie wychudłego żółtego mężczyzny, siedzącego samotnie na małym dywaniku.

— Chciałby jeszcze zapalić, a nie ma już pieniędzy — stwierdza mój towarzysz i pochylając się, zaprasza staruszka na „bafur“ [1]).

Człowiek przyjmuje propozycję z radością, wstaje, kłania mi się nisko i przysiada do nas.

Mam teraz sposobność obserwować z bliska całą procedurę: widzę zręczność, z jaką palacz przylepia kawałeczki opium i czyści otworek swej fajki, widzę żarłoczną chciwość, z jaką zaciąga się wonnym dymem, widzę jego nadmiernie rozszerzone źrenice, nerwowe ruchy i żółtą cerę.

Jest bardzo wdzięczny za zaproszenie. — Skończywszy pierwszą fajeczkę, kładzie ją ostrożnie na metalowym brzegu tacy i rozpoczyna uprzejmą rozmowę.

[1]) Fajka do opium.

Na prawo: Palacze opium w „czajhane“. Na środku dywanu widoczny „mangal“ z fajkami.

Poniżej: Uliczka w Ispahanie, w głębi kopuła jednego z najstarszych meczetów.



Plantacje opium w okolicach Ispahanu.

Pracuje jako woźny w urzędzie, zarabia dobrze, ma jedną tylko żonę i dwoje dzieci.

— Bo — dodaje, uśmiechając się niepewnie — palić zaczął już w trzy lata po ślubie, szesnaście lat temu.

Stanowi to wyjaśnienie nielicznej rodziny, gdyż nałogowi palacze podobno względnie szybko stają się niezdolni do pełnienia „obowiązków małżeńskich“.

— A palić trzeba było zacząć koniecznie, doktór kazał — dodaje jeszcze nasz znajomy, znów sięgając po „bafur“ i błyskawicznie przygotowując go do palenia.

Może to jest tylko wymówka wobec „ferenghi“, którzy — śmieszne doprawdy! — widzą coś zdrożnego w używaniu opium, może jednak jest prawdą. Przed kilkunastu laty bowiem „doktorzy“, którym za jedyne wykształcenie starczyły posługi w jakiejś europejskiej misji, nakazywali swoim pacjentom przy każdej okazji palenie opium, sądząc, nie bez słuszności, że „klient“ będzie zawsze zadowolony z tego rodzaju kuracji.

Druga fajeczka dobiega końca i suchy



człowieczek popija teraz herbatę, wkładając do ust kawałeczki cukru.

...Obecnie opium stało się dlań koniecznością, wypala dziennie jedną laskę, dzieląc ją na trzy porcje: o 7-ej i o 8-ej wieczór. „Tylko nie można się spóźnić!“.

Istotnie! Nałogowi palacze odczuwają podobno głód narkotyku zawsze o tej samej porze i to z dokładnością zegarka; najmniejsze, kwadransowe opóźnienie doprowadza ich podobno do szału zdenerwowania. Po wypaleniu jednak swej określonej porcji odzyskuje zupełną równowagę.

„Czaj-hane“ opustoszało, przygaszono nawet ozdobne latarnie, koło których krążą teraz roje komarów. Rozglądam się i — niespodziewana decyzja:

— Chcę zapalić.

Konsternacja.

— Tutaj?? W czaj-hane?!

— Właśnie w czaj-hane.

Mogę sobie pozwolić na tego rodzaju „skandaliczny wybryk“, będąc w mieście chwilowo i przejazdem.

— Europejczyk nie pali opium wogóle, a już zwłaszcza w czaj-hane — zaznacza oburzonym tonem mój towarzysz, mimo to jednak zamawia dla mnie „bafur“.

Sensacja jest olbrzymia. „Pessatr“ pośpiesznie wnosi nowy „mangal“ i fajkę dla „hanum ferenghi“ [1]).

Niezręcznie idzie mi cała manipulacja, tembardziej, że jednak jestem pod wrażeniem własnej ekstrawagancji. No! Nareszcie! Choć krzywo, ale trzyma się mój kawałek opium, choć niezgrabnie, ale chwyciłam szczypczykami węgielek.

Zasyczała zbyt mocno przygrzana „laseczka“ i dziwny smak rozszedł się w ustach.

— Trzeba się dobrze zaciągnąć.

Przymykam oczy, wypełniając płuca lekkim, wonnym, jakby miękim dymem. Niezaprzeczenie — bardzo miłe! Nie czuję właściwie żadnego określonego wrażenia, ale jest mi przyjemnie. O!... bardzo przyjemnie!

Jeszcze jedno pociągnięcie... i jeszcze jedno... i jeszcze.... i jeszcze....

— Będzie dosyć.

Zupełnie zapomniałam, że jestem ośrodkiem ogólnego zainteresowania i głos towarzysza jakby mnie zbudził.

Drugi kawałek opium przylepia się już wiele zręczniej i smakuje wiele lepiej. Robi mi się wesoło, tak wesoło, jak nigdy w życiu. Osłabienie i zmęczenie upałem, stale dające się we znaki, dawno znikło. Jestem pełna sił, humoru, werwy, w głowie roją się lekkomyślne projekty, które w dodatku wydają mi się niezmiernie łatwe do wykonania.

— Stanowczo dosyć. — Tym razem głos brzmi surowo.

Niechętnie odkładam „bafur“, ale może istotnie zbyt już podoba mi się ta „wschodnia przyjemność“.

Wychodzimy. Jestem tak „lekka“, świeża i wypoczęta, że teraz dopiero rozumiem, dlaczego Persowie w swej ozdobnej mowie mówią często zamiast: „palić opium“ — „kazać umrzeć zmęczeniu“.

Przytem podróż wydaje mi się cudowna, Ispahan najpiękniejszem miastem na ziemi, inżynier wybitnie interesującym człowiekiem, a gwiaździsta noc — odmianą raju.

— Tylko niech pani nie próbuje po raz drugi. Opium perskie jest niebezpieczniejsze od innych.

— Nie boję się narkotyków.

Ale na drugi dzień musiałam przyznać rację swemu towarzyszowi: tak bardzo pociągały mnie raz doznane wrażenia, że aż przystawałam przed drzwiami „czaj-hane“, wdychając lekki zapach błękitnego dymu i myśląc, jaka szkoda, iż w obawie groźnej namiętności nie można skosztować po raz drugi tajemniczego smaku „bafur“.

Marja Mikorska.

[1]) Cudzoziemka.



NASZA ★ NOWA ★ ANKIETA

Co wiem o miłości?

11. Jadwiga Smosarska.

Jadwiga Smosarska, pierwszej wielkości gwiazda naszej sceny i ekranu, uproszona o wzięcie udziału w ankiecie Asa, zaprasza mnie na wywiad do swej willi, położonej pod Warszawą. O oznaczonej porze znajduję się w eleganckim saloniku pięknego home p. Smosarskiej, gdzie z uroczą i uprzejmą panią domu spędzam godzinę na miłej rozmowie.

Temat ankiety ujmuje Jadwiga Smosarska poważnie, wygłaszając swe zapatrywania z głębokiem przekonaniem. Odnoszę wrażenie, że słowa, które słyszę, nie są pobieżną odpowiedzią, lecz wynikiem głębokich rozmyślań, a nawet przeżyć artystki.

Jadwiga Smosarska rzuca na wstępie ciekawą myśl, na którą w dotychczasowych wywiadach ankiety nie zwrócono uwagi, a mianowicie, że:

— Jest różnica pomiędzy kobietą zakochaną a kobietą kochającą. Moment „zakochania się“ jest zależny bardzo często od przypadku i różnych niespodziewanych okoliczności. Mówiąc o miłości i traktując ją jako uczucie głębokie, wywierające poważny wpływ na całe życie, wyłączmy zatem kobietę „zakochaną“, bo tu nie możnaby znaleźć żadnej reguły czy uogólnień; mówmy wyłącznie o miłośc już ustalonej, długotrwałej.

— Od czego zależy, zdaniem pani — zapytuję — przeobrażenie się w duszy kobiety miłości świeżo zbudzonej w takie długotrwałe i głębokie uczucie?

— Zależy to od wartości duchowej zarówno kobiety, jak i mężczyzny, którego pokochała.

— Jak to pani rozumie?

— Trudno wyrazić to w kilku słowach Spróbuję jednak zdefinjować moje twierdzenie. Ułatwię sobie zadanie podaniem kilku przykładów. Wierzę w to — mówi artystka — iż absolutne szczęście w wielkiej miłości osiągnie się tylko i wyłącznie wtedy, jeśli stosunek dwojga zakochanych oparty będzie na bezgranicznem zaufaniu i rzetelnej prawdzie Ta szczerość i prawda musi objawiać się w sprawach najważniejszych, w uczuciu, a także i w codziennych drobiazgach. Idąc konsekwentnie w myśl tej zasady, wyłączam całkowicie z prawdziwej, szczęśliwej miłości takie „sztuczki“, jak budzenie zazdrości w osobie kochanej i tem podobne podstępy, które mają niby wzmóc natężenie miłości. Oczywiście nie wykluczam możliwości pewnej estetycznej finezji w tem obopólnem ustosunkowaniu się zakochanych. Co do szczerości codziennej, w drobiazgach osoba kochana musi zrozumieć, że słowa, czasem przykre, jak zwrócenie uwagi na niestosowność stroju, zachowania się i t. d. dyktowane są nie złośliwością, ale najtkliwszą miłością. Mężczyźnie naogół obca jest bezwzględna szczerość i zaufanie, o jakiem wspominam. By móc stanąć na takich wyżynach miłości, nie wystarczy ani wielka wiedza, ani wykształcenie... Musi się mieć duszę czułą, tkliwą i wrażliwą na piękno uczuć...

— Przychodzi mi jeszcze na myśl — mówi Jadwiga Smosarska — pewien paradoks, który jednak paradoksem nie jest Niechże on zamknie moje wynurzenia na temat miłości. — Nawet ci, co kochali nieszczęśliwie, zaznali szczęścia przeżywania wielkiego uczucia...



12. Bogdan Grzymała Kamodziński

Zkolei mam zaszczyt przedstawić Czytelnikom „Asa“, młodego poetę, p. Grzymałę Kamodzińskiego, członka Związku Zawodowego Literatów Polskich, którego poezje ukazują się w wielu pismach polskich. P. Kamodziński występuje w tych właśnie dniach z nowym tonem swoich poezyj Odpowiedź p. Kamodzińskiego będzie dla nas dlatego ciekawą, iż dotychczas nie zapoznaliśmy się jeszcze z opinją młodego — jak się to mówi — „chłopca“. — Wbrew oczekiwaniom, wynurzenia pana Bogdana nie idą po linji .. szablonowej poezji, są raczej jej zaprzeczeniem, podchodząc do tematu od strony realnego życia, potraktowanego z prawdziwym młodzieńczym humorem



Poeta Bogdan Grzymała-Kamodziński.

— Co to jest miłość? — brzmi moje pierwsze pytanie.

— Miłość — mówi p. Grzymała Kamodziński — jest to romantyczna choroba. Objawy: gorączka, wspaniały patos w sercu i miljon wzruszeń. Można się kochać odrazu w pięciu niewiastach, ale najlepiej jest mieć jedno śliczne bóstwo

— A czy istnieją kobiety, w których nie można się zakochać?

— Oczywiście. Kobiety, w których zakochać się nie można, to przedewszystkiem dziwolągi, machające karabinami, wrzeszczące wojskowe komendy głosami wachmistrzów; poza tem: zawodowe footbalistki, bokserki, siłaczki ganiające z rozwianym włosem i upiorną twarzą, zacięte i muskularne babsztyle, które umieściłbym w koncentracyjnym obozie. To są kobiety niebezpieczne, z któremi przy bliższem zetknięciu się można wyjść z pogruchotanemi kośćmi. Również wybujałe intelektualistki, filozofki, dla których Kant czy Spinoza, to „mięta“, należy wykluczyć z grona prawdziwych kobiet..

— A miłość w małżeństwie?

— Mówienie o miłości w małżeństwie — to już domena mężów. Staram się wytrwać w stanie kawalerskim i dlatego nie znam się na tem skomplikowanem zagadnieniu. Spotkałem wszakże takich zazdrosnych i obrzydliwych cymbałów, którym z przyjemnością poodbierałbym ich ładne żony.

— Była na początku ankiety mowa o roli zmysłów w miłości Co pan o tem sądzi?

— Zmysły niewątpliwie są ważne w miłości. Nie oznacza to jednak, by miłość trzeba było pojmować jako czynność mechaniczną i oceniać ją jako jedną z kategoryj utylitaryzmu przyrodniczego. Takie rozumienie miłości jest banalne. Istotna miłość ma we wszechświecie poważniejsze zadanie, niż zachowanie gatunku... **Romit.**

W REZYDENCJI BŁAZNA



Oto maska wielkiego komika, pod którą zna go cały świat.



Portret komika jako króla klownów, pendzla jego kolegi cyrkowego van Dock.

Na prawo: Ogólny widok pałacu Grocka wraz z otaczającym parkiem, który opada tarasowato ku wielkiemu stawowi.



W kole: Grock z matką w parku swego pałacu.

Poniżej: Oryginalne ogrodzenie, posiadające ozdoby w postaci głowy klowna z kamienia, otacza posiadłość Grocka.





Świat cyrku zaciekawiał zawsze nietylko zwykłych gapiów, ale też ludzi inteligentnych. Dziwna atmosfera, panująca pod płócienną kopułą, przesiąknięta końskim potem, tanim pudrem artystek, różnemi wyziewami stajennemi — wszystko ujęte w ramy przesadne, barokowe, nieraz naiwne, nadaje się, jak może mało innych, do studjów psychologicznych nad charakterem człowieka. Za drewnianą rampą wysiadywał słynny psycholog, piszący swe spostrzeżenia pędzlem i ołówkiem Toulouse-Lautrec, tworząc niezapomniane arcydzieła ze świata cyrku. To samo czynił Degas, a ostatnio psychologja cyrkowców stała się nieocenionym tematem dla filmów, wśród których „Variété" z Janningsem pozostał w pamięci każdego kinomana.

„Instytucja" błaznów i klownów jest stara jak świat nietylko dlatego, że niejeden staje się nimi mimowolnie, ale dlatego przedewszystkiem, że człowiek lubi widzieć swe przywary skarykaturyzowane przez zawodowego wesołka i lubi się śmiać z nich swobodnie, zapłaciwszy za tę chwilę samopoznania mniejszy lub większy wstęp.

Takim wielkim klownem, rozśmieszającym wspaniale obmyślonemi trickami psychologicznemi publiczność, jest Andrien Wettach, Szwajcar z pochodzenia, znany w świecie pod nazwiskiem Grock. Jak to bywa zwykle w takich razach, Grock nagradza sobie swoje błazeństwa na scenie poważnemi zainteresowaniami w życiu prywatnem. Jest to sześćdziesięciokilko-letni pan, posiadający dużo poważnych zainteresowań i kochający przedewszystkiem życie domowe. Za pieniądze zarobione na rozśmieszaniu ludzi wybudował on sobie piękną willę w Oneglia na włoskiej Riwierze, która, otoczona wspaniałym parkiem, jest jego rezydencją przez cztery miesiące w roku. Tam to wypoczywa Grock po 30-letniej karjerze na różnych scenach i na „ubitej ziemi" cyrków. Willa jego, którą można łatwo nazwać pałacem, obejmuje 40 pięknie umeblowanych pokoi, liczne sale, zapełnione dziełami szuki, nieraz, jak tego należy się spodziewać w rezydencji błazna, dosyć dziwacznych. Oto chluba pałacu: portret wesołka w stroju królewskim! Motto do portretu mogłoby brzmieć: „Król błaznów, błazen królów". Grock jest poza swoimi talentami klownowskimi, zdolnym muzykiem, grającym świetnie na kilku instrumentach, a również w swoich wolnych chwilach grywa chętnie w bilard i pracuje w swojej pracowni ślusarskiej. Nie jest to, jak widzimy, zwykły błazen, tembwięcej, że opracowuje swoje „numery" sceniczne według własnych pomysłów, a nawet komponuje piosenki, któremi następnie zachwycać będzie europejską publiczność. Przez dwadzieścia blisko lat zdobywał on bezprzykładne sukcesy, nie zmieniając wcale swego programu, tylko odgrywając go w dwunastu różnych językach. Jest to wypadek niespotykany w świecie areny i music-hallu, a świadczący o wielkim talencie Grocka.

Widząc starszego pana, spacerującego po parku wraz ze swoją matką, nikt by się nie domyślił, że jest to jeden z najśmieszniejszych ludzi świata. Jeżeli urządzenie willi, lub jej architektura zewnętrzna pozostawia coś niecoś do życzenia, to ostatecznie nie miejmy tego za złe jej właścicielowi, który i tak umiał ze swego życia, płynącego w atmosferze bądź co bądź błazeństwa, wydobyć dużo wartości, a swoją sztukę doprowadzić do poziomu, który usprawiedliwia to określenie.

JGM.



Grock, który miał obrać zawód zegarmistrza, do dziś dnia hołduje upodobaniu w pracy mechanicznej.



Bilard stanowi jedną z najmilszych rozrywek wielkiego komika.

Poniżej: Wielki salon w pałacu w Oneglia, gdzie Grock chętnie oddaje się muzyce.



Poniżej: Również fotografja pasjonuje Grocka, który posiada niezliczoną ilość aparatów.



W 100-LECIE FOTOGRAFJI



Od lewej: Józef Niepce i Ludwik Daguerre stworzyli swymi wynalazkami podstawy współczesnej fotografji.

Gdy weźmiemy do ręki stary album fotograficzny, który w ubiegłym stuleciu znajdował się w każdym niemal „saloniku", z kart jego wyglądają ku nam srebrzyste blaszki z portretami osób, których ubiór wydaje się nam dzisiaj przestarzały i często nawet dziwaczny. Ludzie starsi pamiętają jeszcze, że obrazki te, stanowiące prototyp fotografji, nie nosiły dawniej nazwy fotografij, lecz t. zw. dagerotypów, które najbardziej rozpowszechnione były w połowie ubiegłego wieku.

Może warto zastanowić się, jak powstała ta pierwsza fotografja, zwłaszcza, że w roku bieżącym obchodzimy 100-ną rocznicę jej powstania.

Aparat fotograficzny jest niczem innem, jak ciemnią optyczną, w której zamiast otworku znajduje się soczewka. Przypomnijmy sobie proste doświadczenie z lat szkolnych. Gdy weźmiemy prostokątną zamkniętą skrzynkę i zrobimy w jednej ze ścianek mały otwór, to na przeciwległej ścianie otrzymamy odwrócony obraz przedmiotu umieszczonego przed otworkiem. Aby obraz powstał, przedmiot znajdujący się przed skrzyneczką, czyli, jak mówimy, przed ciemnią optyczną, musi być oświetlony. Powstały obraz jest tem wyraźniejszy, im mniejszy jest otwór, zmniejszanie jednak otworu powoduje dostawanie się mniejszej ilości światła. Soczewka właśnie ma tę własność, że pozwala zebrać więcej światła, nie zmniejsza przytem ostrości obrazu. Jeżeli tylną ścianę naszej skrzyneczki sporządzimy z matowego szkła, to każdy oświetlony przedmiot umieszczony przed otworem rzuci na tę szklaną płytkę widoczny obraz, który w stosunku do przedmiotu jest obrazem odwróconym i przeważnie pomniejszonym. Taki właśnie obraz obserwujemy na matówce każdego kliszowego aparatu fotograficznego. Na miejsce matówki, na którą pada obraz, trzeba tylko umieścić płytę czułą na działanie promieni świetlnych i następnie utrwalić to działanie.

Ciemnia optyczna, czyli t. zw. camera obscura, znana była prawdopodobnie już w starożytności, chociaż zwykle za jej wynalazcę uważa się Rogera Bacona, genjalnego mnicha angielskiego z XIII-go wieku, znanego pod przydomkiem „doctor mirabilis". Opisywał ją również sławny Leonardo da Vinci, który w zaciemnionym pokoju przez mały otwór w okiennicy przepuszczał światło i na przeciwległej ścianie otrzymywał obraz tego, co znajdowało się przed oknem. Soczewkę do kamery zastosował po raz pierwszy w Narymberdze w połowie XVI-go wieku Cardan. Zbudował on dużą kamerę, w której otworze umieścił kulę szklaną. W ten sposób otrzymał ostry obraz, znacznie jaśniejszy, niż bez zastosowania soczewki.

Wynalazcą pierwszej lampy projekcyjnej, kryjącej w sobie zaczątek kinematografji, był Włoch Giambatista della Porta, żyjący na przełomie wieku XVI-go i XVII-go. Nazywano ją latarnią czarnoksięską — laterna magica. Gdy dzisiaj latarnie magiczne, popularne zwłaszcza przed wojną, kiedy nie znano jeszcze kina, stanowią jedną z rozrywek wieku dziecięcego, przed paru set laty wydawały się one czemś niezwykłem i zahaczającem o czarnoksięstwo.

Już w starożytności wiedziano o tem, że światło słoneczne oddziaływuje na różne ciała zmieniając ich barwę. Witruwjusz i Plinjusz zwracają uwagę w swych pismach malarzom, by niektórych farb używali tylko do fresków znajdujących się wewnątrz mieszkań, gdyż słońce zmienia ich barwę. Długo jednak nie znano substancyj, któreby pod wpływem działania światła ulegały bardzo wyraźnym i szybkiem przemianom. Dopiero średniowiecze i badania alchemiczne, które później miały dać początek i podstawę chemji, posunęły nieco naprzód całą sprawę.

W wieku XIII-tym został odkryty we Włoszech kwas azotowy. Kwas ten rozpuszcza srebro tworząc bezbarwny roztwór, który po



Dagerotyp z roku 1856 w charakterystycznych ramkach.



Niedawno temu odkryty dagerotyp, przedstawiający Fryderyka Szopena.

odparowaniu daje białą pozostałość. Jest to sól nazwana azotanem srebra, znana od dawnych lat również pod nazwą kamienia piekielnego. Wszystkie przedmioty zwilżone tą solą i wystawione na działanie światła dziennego szybko czernieją. Te czarne plamy — to srebro metaliczne, które wydzieliło się wskutek rozkładu soli srebrowej. Rozkład ten następuje pod wpływem światła słonecznego. Otóż na takim rozkładzie soli srebrowych opiera się cała fotografja.

Znacznie szybszemu rozkładowi pod wpływem światła słonecznego aniżeli azotan srebra ulegają inne sole srebra, np. chlorek srebra, który można otrzymać przez dodanie do azotanu srebra zwyczajnej soli kuchennej. Związek ten znali już alchemicy. Dla otrzymania obrazów użył go po raz pierwszy niemiecki lekarz Schultze z Halli z początkiem wieku XVIII-go. Wycinał on z papieru sylwetki liter i układał na warstwie chlorku srebra. Miejsca wystawione na działanie światła stawały się ciemne. Po usunięciu sylwetek literowych pozostawały jasne litery na ciemnem tle.

Próby te powtarzali z końcem XVIII-go wieku: we Francji Charles, w Anglji znany chemik Davy i Wedgwood, któremu udało się nawet otrzymać obrazy w znacznem powiększeniu przy pomocy mikroskopu. Fotodruki otrzymane jednak przez niego były nietrwałe i oglądać je można było tylko przy świetle świecy, ponieważ wystawione na działanie światła słonecznego szybko czerniały.

Właściwy początek fotografji związany jest z nazwiskami dwu Francuzów: Niepce'a i Daguerre'a, którzy pierwsi rozpoczęli robić zdjęcia z przedmiotów przestrzennych.

Józef Nicefor Niepce urodzony w r. 1765 już od najmłodszych lat zajmował się rozmaitemi wynalazkami, budował łodzie motorowe, skonstruował też pompę, wyróżnioną przez Akademję. Ponadto zajmował się litografją i to stało się początkiem jego zainteresowań zwróconych w kierunku utrwalania obrazów w kamerze. Prace te rozpoczął w r. 1813 i już w następnym roku otrzymał interesujące wyniki. Stwierdził on mianowicie, że asfalt rozpuszczalny w wielu organicznych rozpuszczalnikach, tracił tę własność po wystawieniu go na światło. To zjawisko postanowił wykorzystać Niepce dla sporządzania trwałych obrazów z przedmiotów z otoczenia. W tym celu metalowe płytki pokryte asfaltem, umieszczał na tylnej ścianie kamery i naświetlał przez czas dłuższy, a następnie poddawał działaniu olejku lawendowego, w którem nienaświetlone miejsca asfaltu ulegały rozpuszczeniu. W miejscach najsilniej naświetlonych, a więc odpowiadających najjaśniejszym częściom fotografowanego przedmiotu, pozostawała nierozpuszczalna warstewka asfaltu. W ten sposób powstawał prototyp negatywu, t. zw. obraz heljograficzny, jak ówcześnie mówiono; przez wytrawienie takiej płytki metalowej w odpowiednim kwasie otrzymywano rodzaj kliszy heljograficznej, z której można było otrzymywać reprodukcje. Warto przytem dodać, że takie zdjęcie wymagało około 10 godzin czasu naświetlania.

Dalsze lata wytrwałej pracy przyniosły Niepce'owi dalsze wyniki: posługując się płytką srebrną lub posrebrzaną, którą pokrywał warstewką asfaltu, mógł otrzymać pozytyw w ten sposób, że negatyw heljograficzny poddawał działaniu par jodu, które czerniły niepokryte asfaltem miejsca płytki srebrnej. Po usunięciu asfaltu powstawał ciemny pozytyw na srebrzysto-białem tle.

Mimo dwudziestoletniej nieprzerwanej pracy nad utrwalaniem obrazów w kamerze, nie danem było Niepce'owi spożywać owoców swych wynalazków. Wszystkie nagrody i zaszczyty spadły na Ludwika Daguerre'a, z którym współpracował w ostatnich latach swego życia i który po śmierci właściwego twórcy fotografji — w r. 1833 — dalej prowadził rozpoczęte wspólnie prace i badania.

Zasługą Daguerre'a było stwierdzenie, że związek powstały przez działanie par jodu na srebro, t. j. jodek srebra ulega rozkładowi pod wpływem światła. Pokryte asfaltem płytki Niepce'a próbował Daguerre za-



Portret fotograficzny z r. 1843, wykonany przez szkockiego malarza Octaviusa Hilla.

stąpić płytkami srebrnemi, które w ciemni poddawał działaniu par jodu. Mimo jednak długotrwałego naświetlenia nie otrzymywał zadawalających wyników. Pomocnym okazał się przypadek, dzięki któremu, właśnie przed 100 laty, bo w r. 1837, dokonał niezmiernie ważnego odkrycia, od którego datuje się właściwy rozwój fotografji. Pewnego razu ze zdumieniem stwierdził, że złożona w laboratorjum płytka srebrna poddana poprzednio działaniu par jodu, na której robił już zdjęcie, lecz bez powstania widocznego obrazu wskutek zbyt krótkiego naświetlenia — przekształciła się w wyraźny obraz. Musiały tu zatem działać jakieś odczynniki znajdujące się w pracowni. Szczegółowe poszukiwania wykazały, że obraz na tej, krótko naświetlonej płycie, powstał wskutek działania par rtęci, która znajdowała się w tej samej szafce. Rtęć osadzała się najmocniej na tych miejscach płytki, które były najsilniej oświetlone. Obraz niewidoczny poprzednio dla oka ludzkiego został wywołany parami rtęci. W ten sposób powstał pierwszy dagerotyp.

Doniosłość odkrycia Daguerre'a polegała na tem, że odtąd nie musiano naświetlać płyty czułej na działanie światła tak długo, by nastąpił całkowity rozkład i wydzielenie srebra. Wystarczało przez krótkie naświetlenie tylko zapoczątkować ten proces, a następnie dokończyć go przy pomocy odpowiednich odczynników chemicznych, czyli przez t. zw. wywoływanie. Dzięki temu czas naświetlania został skrócony do kilkunastu, a w niedługim czasie do kilku minut. Późniejsze prace, prowadzące do zwiększenia czułości płyt na światło, pozwoliły na dalsze skrócenie czasu naświetlania.

Wynalazek Daguerre'a zrobił olbrzymie wrażenie w całej Europie. Na pamiętnem posiedzeniu Akademji Francuskiej przedstawił go znakomity fizyk Arago oświadczając, że rząd francuski wynalazek ten oddaje na własność całego świata.

Entuzjastycznie przyjęte dagerotypy szybko rozpowszechniły się w całej Europie i Stanach Zjednoczonych. Główną ich niedogodność stanowiło to, że nie można było otrzymywać większej ilości egzemplarzy fotografij. Z każdego zdjęcia otrzymywano tylko jedną fotografję.

Rozwiązanie tego problemu ułatwiły badania prowadzone równocześnie w Anglji przez Talbota, któremu udało się otrzymywać z jednego negatywu dowolną ilość pozytywów. Materjał negatywowy i pozytywowy Talbota stanowił papier, napojony chlorkiem srebra: przez przyłożenie negatywu do nowego arkusza papieru światłoczułego i naświetlenie, otrzymywał pozytyw. Tak otrzymywane obrazy nazywał Talbot fotogenicznemi, a następnie fotograficznemi; stosowana była również i nazwa talbotypji od nazwiska wynalazcy. Główną zasługą Talbota było utrwalanie otrzymywanych obrazów, co uzyskiwał przez zanurzenie naświetlonych negatywów czy pozytywów we wrzącym roztworze soli kuchennej, która rozpuszczała niezmieniony chlorek srebra, nie naruszając miejsc zczerniałych.

Poniżej: Z Warszawskiej Wystawy Fotograficznej: »Don O'Brien« — zdjęcie W. Schneidera — U. S. A.



Poniżej: Z Warszawskiej Wystawy Fotograficznej: »Defilada« — zdjęcie J. A. Neumanna, Warszawa.



Poniżej: Z Warszawskiej Wystawy Fotograficznej: »Po zachodzie słońca« — Zdjęcie van Quatshoorn A. R. — Capetown.





Oto drugi portret, wykonany z niezwykłym artyzmem przez Hilla.

Fotograficzne obrazy Talbota nie miały jednak tej wyrazistości, którą posiadały delikatne dagerotypy. Przy sporządzaniu bowiem odbitek kopjowana była i struktura papierowego negatywu. Przez długie też lata w dalszym ciągu stosowane były dagerotypy. Zanikać one zaczęły dopiero wtedy, gdy do sporządzania negatywów zaczęto używać klisz szklanych. Pierwsze klisze fotograficzne stanowiły płytki szklane, oblewane białkiem i roztworem jodku potasu, a następnie zanurzane w roztworze azotanu srebra. Później białko, które ulegało psuciu, zastąpiono kolodjum, t. j. roztworem bawełny strzelniczej w mieszaninie alkoholu i eteru.

Przez długie lata używano klisz mokrych, które przygotowywano w ciemni bezpośrednio przed zdjęciem. Mokrą kliszę zaraz po wyjęciu z roztworu zakładano do aparatu fotograficznego i robiono zdjęcie.

Do wywoływania, w czasie którego proces rozkładu połączeń srebra na kliszy zapoczątkowany przez naświetlanie, prowadzony był dalej, używano różnych połączeń chemicznych. Początkowo używano do tego celu szczawianu żelazawego i kwasu pyrogalusowego, później stosowano i inne związki chemiczne, a zwłaszcza organiczny hydrochinon, wchodzący w skład najczęściej dzisiaj używanych wywoływaczy.

Dopiero dalsze lata żmudnych prac i badań pozwoliły na zastąpienie kolodjum żelatyną i wreszcie na wprowadzenie klisz suchych, a następnie filmów, co zadecydowało o rozwoju i rozpowszechnieniu fotografji. Postępująca technika skracała czas potrzebny dla wykonania zdjęcia. Gdy w ogóle potrzebny do wykonywania zdjęcia. Dzisiaj najtańszym aparatem wykonujemy zdjęcia z ręki, naświetlając kliszę czy film przez drobny tylko ułamek sekundy. Potrafimy dzisiaj sfotografować nietylko najszybsze zwierzę w ruchu, czy drganie skrzydeł ptaka lub owada, lecz i wypuszczoną strzałę z łuku czy kulę z broni palnej.

Przez ulepszanie soczewek i materjału negatywów i pozytywów, coraz większe zastosowanie znajdują małe kamery z popularną Leiką na czele. Z małych parucentymetrowych negatywów możemy otrzymywać wielkie powiększenia o doskonałej ostrości.

Doniosły wynalazek Niepce'a i Daguerre'a i prace ich następców oddały wielkie usługi nauce, stwarzając równocześnie popularną rozrywkę szerokich rzesz.

Dr. M. K.

URLOP NA WODZIE

WSPOMNIENIE Z WYPRAWY ŻEGLARSKIEJ

Są tacy osobliwi ludzie, którzy na wodzie czują się lepiej niż na lądzie. Nie potrafią patrzeć obojętnie na rzekę, jezioro czy morze. Widok zwierciadła wodnego, marszczonego lekkim wiaterkiem, bądź morza, ryczącego w zdyszanym oddechu, budzi w nich tęsknotę mocno zbliżoną do pożądania. Poprostu zakochali się w wodzie, zakochali nieuleczalnie... Bo też stwierdzić należy, że nic bodaj nie daje równie intensywnego poczucia radości życia, jak turystyka wodna w blaskach słonecznych i przeczystem, wyjałowionem z kurzu powietrzu.

Nie mogąc rozstać się z beztroską swobodą, cudacy ci uprawiają wycieczki kajakowe jeszcze w listopadzie, a nawet i grudniu, oczywiście ciepło ubrani w przemyślne wełny i flanele. I bardzo sobie chwalą tę porę roku, kiedy wiosłowanie w chłodnem powietrzu męczy mniej niż kiedykolwiek. Rzeka jesienią, nawet późną, ma swoisty czar, z którym warto jest się pokumać. I dopiero mróz, który skuwa rzeki lodem, wytrąca im siłą rzeczy wiosło z ręki.

My, Polacy, później od innych narodów Zachodu oceniliśmy należycie wielkie wartości turystyki wodnej. Za to doceniwszy, uprawiamy ją gorliwie i konsekwentnie. — Jednak żywiołowemu tempu, w jakiem poczęła się u nas ostatnio rozwijać turystyka wodna, nie dotrzymuje kroku odpowiednia literatura pomocnicza. Daje się tu wciąż jeszcze odczuwać dotkliwy brak przewodników i sprawozdań, dotyczących najważniejszych nawet szlaków, do których między innymi zaliczyć wypada szlak: Poznań-Gdynia.

Ta niewątpliwa luka stała się dla mnie bodźcem do skreślenia opisu wyprawy, którą odbyłem łodzią żaglowo-wiosłową po tym właśnie ciekawym szlaku, prowadzącym przez Wartę, Noteć, kanał Bydgoski, Brdę, Wisłę i morzem do Gdyni.

Poznań wraz ze swoim solidnym portem na Warcie jest obecnie w praktyce odcięty od Wisły, a co za tem idzie, również i od morza. Jednak teoretycznie istnieją dwie takie drogi, które powinny łączyć stolicę Wielkopolski z Bałtykiem.

Pierwszy szlak, który nazwę „południowym", wiedzie Wartą pod prąd ku Koninowi, poczem przez jeziora: Ślesińskie i Gopło — do kanału Noteci Górnej, który uchodząc z kolei do kanału Bydgoskiego daje żądane połączenie z Wisłą. Jakoż istnieje ono, ale tylko na mapie. Bowiem olbrzymie ongiś Gopło po skanalizowaniu i pogłębieniu Noteci obniżyło znacznie swój poziom, tracąc tym sposobem połączenie naturalne z jeziorem Ślesińskiem a przez nie z Wartą. Sączy się tam wprawdzie wśród mokradeł licha struga, zarosła gęstym kożuchem wodorostów, ale zupełnie nie nadaje się do żeglugi, nawet dla kajaka. W konsekwencji tego stanu rzeczy trzeba łódź przewozić na Gopło lądem.

Drugi szlak, „północny", prowadzi przez ujście Noteci do Warty. Niestety połączenie tych dwu rzek zostało odcięte od polski granicą polityczną. Zatem dla przebycia krótkiego kolana Warty i skrawka Noteci, które to odcinki znalazły się na terytorjum Rzeszy Niemieckiej, należy mieć paszport zagraniczny z wizą. Kto pragnie tego uniknąć, ten i na tym szlaku musi łódź przewieźć lądem, a mianowicie w tem miejscu, gdzie Warta i Noteć są połączone jak najkrótszym odcinkiem szosy, a więc naprzykład z Obrzycka nad Wartą do Czarnkowa nad Notecią. Przewóz ten zresztą nie nastręcza dla kajaków i mniejszych łodzi poważniejszych trudności.

Natomiast gdyby uprzystępniono dla żeglugi istniejący już kanał Morzysławski, który na szlaku „południowym" łączy Wartę z jeziorem Ślesińskiem oraz gdyby przekopano nowy, krótki kanał pomiędzy tem jeziorem i Gopłem, to powstałoby w ten sposób nowe połączenie Warty z Wisłą, skoro ich widły naturalne odcięły traktaty. Jakie miałoby to znaczenie dla województwa poznańskiego, tego nie trzeba podkreślać. Tymczasem jednak nie wodą, ale znacznie droższym transportem kolejowym ciągną do Gdańska i Gdyni produkty Wielkopolski. Może czteroletni wielki plan iwestycyjny przyniesie tu pożądaną odmianę?... Oby jak najrychlej! Trud i pieniądze, włożone w budowę kanału Warta-Gopło, opłaci się stokrotnie.

Znalazłszy się na Noteci pod Czarnkowem turysta przedewszystkiem rzuca zaciekawione spojrzenie na drugą stronę rzeki. Środkiem bowiem wąskiej Noteci idzie tu granica pomiędzy Niemcami i Polską i ciągnie się aż po trudną do wymówienia rzeczkę Głdę (po niemiecku „Küddow"). Zresztą spragnionego egzotyki turystę spotyka zawód: na drugim brzegu nie masz nic osobliwgo i teren jest równie płaski, pusty i bagnisty, jak i na polskiej stronie.

Noteć na tym odcinku jest utrzymana bardzo starannie. Żegluga łatwa i przyjemna, niskie bowiem i niezalesione brzegi nie kradną wiatru. Stan wody wysoki, o żadnych mieliznach, ani podwodnych głazach nie ma mowy. Jedynemi przeszkodami są śluzy. Jest to bowiem rzeka skanalizowana, to znaczy, że wody jej są spiętrzane przy pomocy przegród zbudowanych w poprzek koryta, czyli tak zwanych j a z ó w. Jaz wstrzymuje wodę w biegu, dzięki czemu podnosi ona swój poziom. Dla ruchu statków po rzece znajduje się obok jazu omijający tę przeszkodę kanał wraz z komorą śluzową, która służy do przenoszenia statków na inny poziom rzeki.

Śluz takich jest od Czarnkowa do Wisły aż 15. Są one pewną mitręgą dla żeglarza, gdyż funkcjonują tylko w dnie powszednie i w określonych godzinach.

Brzegi Noteci na jej polsko-niemieckim odcinku są monotonne, podmokłe. Szuwary i szuwary, na których tylko wiatr wygrywa swoje odwieczne, szklanne barkarole... Dopiero za śluzą, która nosi egzemowatą nazwę Krostkowo, okolice zaczynają się ożywiać. Prawdziwą plagą tych okolic są komary. Zwłaszcza na odcinku Czarnków—Ujście, gdzie straż graniczna pełni służbę nocną w specjalnych siatkach ochronnych, podobnych do siatek pszczelarskich. Niezwykłe wrażenie sprawia taka zamaskowana głowa kiedy o brzasku wyłania się z mgły, podczas gdy tułów i nogi strażnika giną w białej śmietanie nadrzecznych oparów.

Wsie w pasie nadnoteckim są gęsto zamieszkałe przez Niemców, którzy po polsku nie rozumieją, albo przynajmniej udają, że nie rozumieją. Są to potomkowie kolonistów, których osiedlił tutaj pruski Fryderyk II trafnie doceniwszy znaczenie Noteci, jako arterji, łączącej Wisłę z Wartą i Odrą. — Działo się to po pierwszym rozbiorze Polski, w którym utraciliśmy na rzecz Prus oprócz pasa nadnoteckiego również i całe Pomorze (z wyjątkiem Gdańska i Torunia).

Za Nakłem turysta rozstaje się z Notecią i wpływa na wody kanału Bydgoskiego, który wygląda niby równa, idealnie prosta ulica o brzegach niskich, często niższych od zwierciadła wodnego. Płynie się tędy jakby po olbrzymiej rynnie, umieszczonej jednak nie u dolnych krawędzi dachu, ale tam, gdzie stykają się obie jego płaszczyzny. Nie trzeba nadmieniać, że w podobnych warunkach żagle chwytają najlżejsze nawet podmuchy wiatru, co oczywiście niemało raduje każde prawe serce żeglarskie.

Kanał dotyka tutaj okolic tak zwanych B i a ł y c h K u j a w. Widok na dalekie pola i piaszczyste, porosłe zagajami wydmy, leżące n i ż e j od poziomu wody, jest doprawdy niecodzienny. Kanał przekopano tak prosto, że żeglarz gubi wzrok w tym punkcie widnokręgu, gdzie niebo styka się z wodą. Jest to zjawisko bardzo rzadkie w warunkach żeglugi śródlądowej.

Domy we wsiach wzdłuż kanału Bydgoskiego są przeważnie drewniane, co na tle murowanej Wielkopolski i Kujaw rzuca się odrazu w oczy. Nie odbiera się przytem wrażenia, aby to ubóstwo mieszkańców było przyczyną używania na budulec drzewa, gdyż budynki stoją na solidnych fundamentach, wykończone są porządnie i z widoczną troską nie tylko o trwałość, ale i o estetykę. Możliwe, że drzewo jest stosowane ze względów sanitarnych, jako materjał, będący gorszym przewodnikiem wilgoci, wydzielanej przez Kanał i okoliczne, nisko położone łąki.

Kiedy turysta wydostanie się wreszcie z matni rzek skanalizowanych i znajdzie się na Wiśle, doświadcza wówczas dziwnie pomieszanych uczuć. Radość?... Zapewne. Wszak Wisła — to wolna droga od Krakowa po Gdańsk, od ujścia Przemszy po Bałtyk. O tak, odczuwa się żywą radość, że skończyło się ze śluzami i zbyt niskiemi mostami, które zmuszały raz po raz do składania masztu — ale również coś jak szacunek, co, gdyby nie zobojętnienie człowieka „nowoczesnego", kazałoby mu zdjąć czapkę z głowy przed niewątpliwym majestatem „Królowej rzek polskich".

Mieczysław Zydler.



Mały sternik na Dniestrze pod Zaleszczykami.

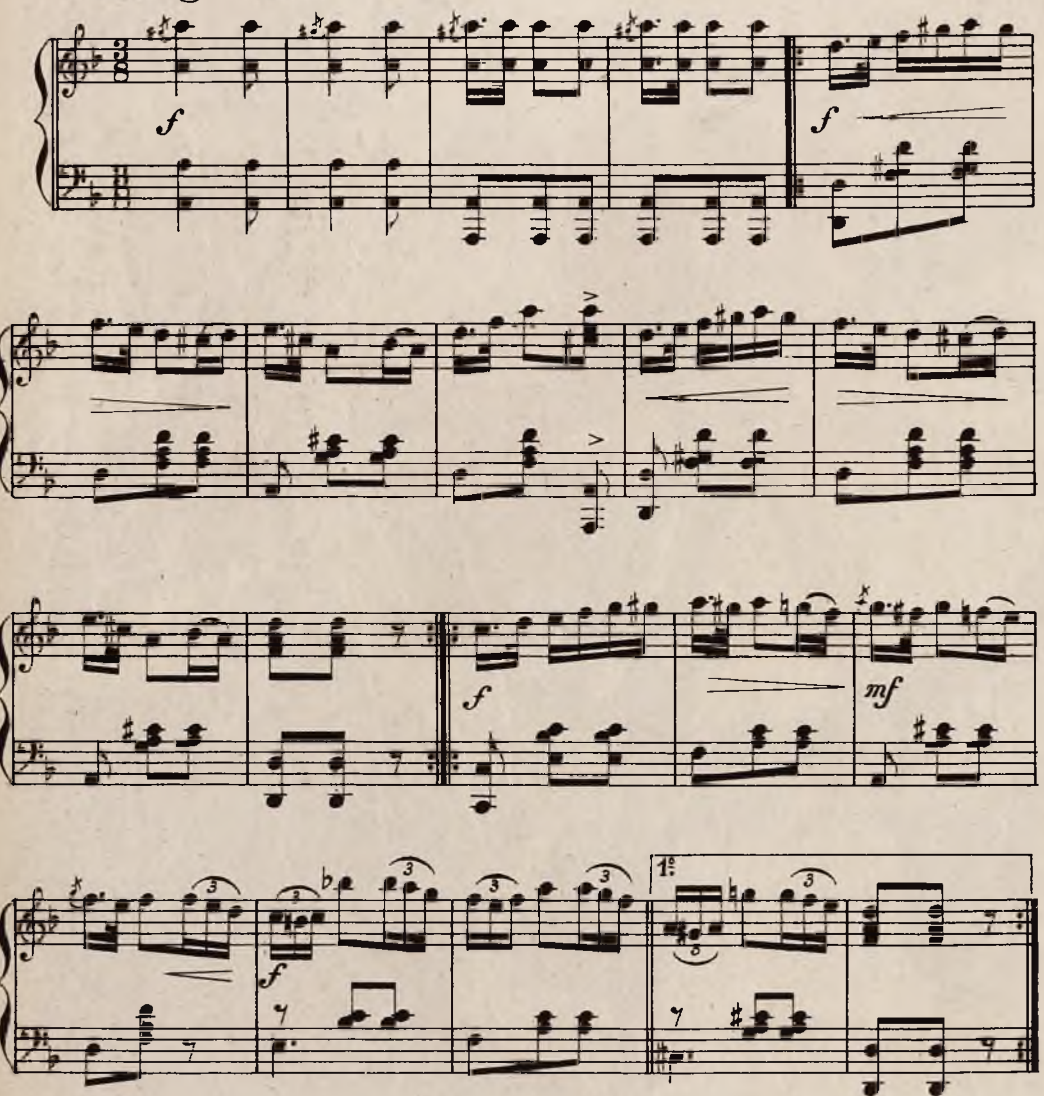
Fot. „Pol" — Zaleszczyki

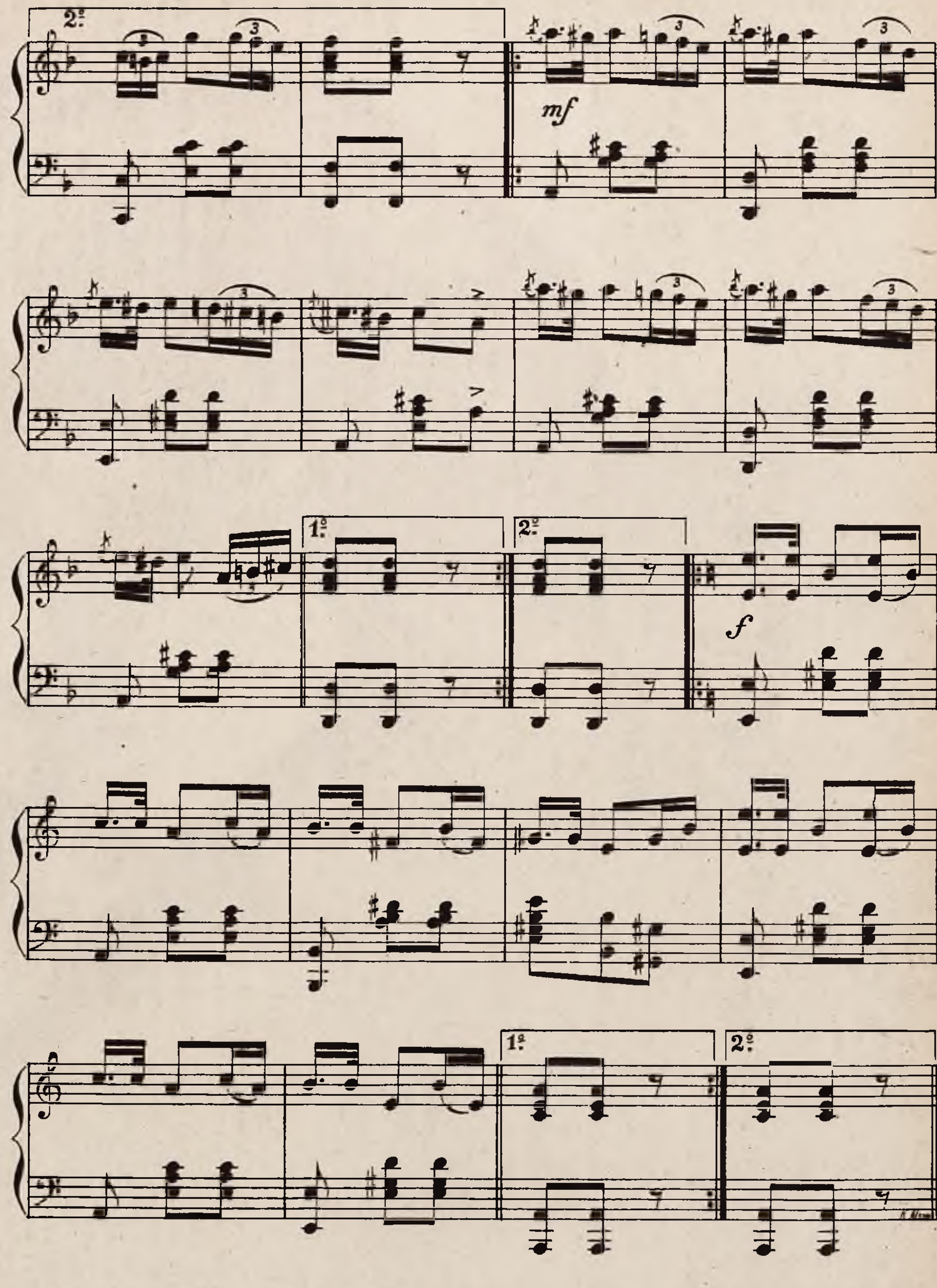
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

POLSKI TANIEC LUDOWY

STANISŁAW J. JASIŃSKI

Allegretto.





GŁOS OBCEGO CZŁOWIEKA

NOWELA

S. STONE

Noc była tak, jak zwykle. Witold odłożył książkę i wyciągnął rękę do kontaktu. I wtedy usłyszał czyjś płacz.

Wpół leżąc, z ręką wyciągniętą, słuchał. Okno było przysłonięte storą, jak kurtyną. Za oknem ulica, obce domy, świat innych ludzi. Wystarczyło rozsunąć kurtynę, by zobaczyć przedstawienie. Nieraz tak myślał i bawił się tą myślą. Pierwszy raz przyszło mu to do głowy, kiedy po rozsunięciu story w pewien wiosenny ranek wyjrzał z niejaką ciekawością na świat i zobaczył właśnie rozsuwającą się storę w oknie naprzeciwko i pana w pyjamie, wyglądającego oknem, jak on sam.

Pamięta, że roześmiał się wtedy.

I nieraz przypominał sobie, jak to dwóch ludzi rozgarniało kurtynę. aby po drugiej stronie zobaczyć tylko drugiego takiego pajaca w pyjamie .

Teraz jednak ktoś za kurtyną zachowywał się inaczej, niż zwykli ludzie.

— Co mu się mogło stać? Tak płakać głośno, na ulicy? Możeby zapytać, co mu jest.

Pomysł był niesamowity. Okazja do takiej rozmowy nie zdarzy się pewnie już nigdy. Rozmowa z człowiekiem, który jak upiór przechodzi nocą i budzi innych swem zawodzeniem.

Witold zgasił światło i nie wyszedł z łóżka. Cóż pomoże, tamtemu człowiekowi? Najprawdopodobniej — nic. ' Jeżeli ktoś płacze głośno na ulicy, to albo jest warjatem lub pijakiem, albo też kimś, który już o nic nie dba i nic mu nie pomoże.

Głos było słychać teraz pod samemi oknami. Witold nie ruszał się. — Może to śmierć czyjąś opłakuje tamten, może własne upodlenie, któż może wiedzieć?

Siedział na łóżku w ciemności i słuchał. Wstydził się, jak zwykle wstydzi się mężczyzna, gdy słyszy płacz. Za tego, co płacze, a więcej jeszcze za siebie, że słucha.

Uświadomił sobie w pewnej chwili, że sen gdzieś odleciał o dniego i będzie teraz godziny całe leżał, kto wie — może z myślą o tamtym człowieku.

Trzeba odezwać się do niego, dowiedzieć się czegoś o nim, żeby stał się żywym, konkretnym człowiekiem, a nie głosem tylko — łatwiej wtedy będzie go zapomnieć.

Podbiegł do okna. — Głos zaczął się już oddalać.

Księżyc nie świecił i wiał silny wiatr. Żaluzje stukały u szczytów okien.

Witold szarpał zasuwką u okna — musi zawołać tego człowieka, musi mu pomóc. albo przynajmniej dowiedzieć się.

Wiatr wdarł się do pokoju i dreszcz przeszedł Witolda. W ulicy ciemnej i pustej nie było widać nikogo.

Obcy człowiek przeszedł.

Witold położył się, zdrętwiały i otulił kołdrą. Wiedział, że teraz nie zaśnie. A był zmęczony i do tego czytał nudną książkę. Powinien już dawno spać.

Co mogło się stać tamtemu człowiekowi? Warjat, czy pijak? Czy ktoś głęboko nieszczęśliwy?

Zapalił papierosa. Wielkie lustro na przeciwległej ścianie wyszło nagle z ciemności i zniknęło razem z płomieniem zapałki. Teraz, kiedy palił papierosa, było mu lepiej. W zupełnej ciemności pokoju był jednak jasny, czerwony punkt. I delikatne smugi dymu koło niego. Dobrze było patrzeć choć na to — i myśleć.

Kiedyś Anna — a było to trzy lata po ślubie — odeszła od niego pewnego pięknego dnia. Zakochała się w jakmiś dziwnym jegomościu. Trochę artysta, trochę hochstapler. Przeżyli razem coś ze cztery miesiące, potem Anna zachorowała. Jej kochanek zachował się całkiem kurtuazyjnie. Napisał do męża, że żona chora, podał jej adres, a sam wyjechał. Widocznie miał ważne sprawy.

Witold do dziś pamięta ten dzień w każdym szczególe. Pokój, podle umeblowany i gospodynię, patrzącą z nieufnością, na niego.

I Annę.

Kiedy go zobaczyła, otwarła szeroko oczy, zdziwiona. Ale nie powiedziała ani słowa. Jak ona zwykle.

— Czy jesteś dość silna, żeby przejść do auta?

— Tak.

— To włóż płaszcz i chodź.

— Do domu?

— Tak.

Patrzyła chwilę, potem poruszyła ustami, chciała coś powiedzieć.

Wrócili do domu. I w domu tym żyli jeszcze lat kilka.

Jak to się stało, że Witold dotrzymał postanowienia, sam nie wiedział.

Był dobry dla żony. Kochał ją.

— — — — — — — — —

Cicho... cicho... Ktoś płacze teraz w sypialni. Wtula on twarz w poduszki, żeby nie zbudzić męża.

Witold słucha i zaciska usta. Nigdy nie wysłucha jej, nigdy nie pozwoli zrzucić tego z serca. Niech szuka drogi do niego. Raz ją zgubiła i nie odnajdzie więcej.

Zaciska usta i nie porusza się. Słucha w milczeniu, jak tyle razy już słuchał.

Tylko, że naprawdę już nikt nie płacze, od roku przeszło.

— Anno — myśli Witold — Anno, czy wiesz, że teraz tęsknię za tobą? Może byłbym inny, a może i nie. Bo właściwie sam nie wiem, czemu się tak stało. Że przyjąłem cię do mego domu, a skazałem na samotność i ciebie i mnie.

— Anno, lepiej, że nie żyjesz. Po takiej sprawie, jak twoja, nie wraca się już. Przynajmniej nie wracają do siebie ludzie tacy, jak my.

— A jednak żyliśmy potem ze sobą przez kilka lat.

— Nie zasnę już dziś, Anno. Chciałbym coś wiedzieć o tamtym człowieku i coś wiedzieć o tobie. Nie będę wiedział.

— To była subtelna gra, Anno. Myślałem, że nie rozumiesz tego. I męczysz się nieświadomie, jak zwykle męczą się kobiety.

Papieros wypalił się. Zgasił go i nie zapalał drugiego. Może tylko dlatego, żeby przy świetle zapałki nie zobaczyć, że pokój pusty. Wiedzieć, to nie to, co widzieć.

To prawda — tamta cała rzecz była grą. Zawsze wiedział, że kiedyś pozwoli Annie mówić. Przeżyją razem tamto, nieznane dla niego, straszne dla niej, przejście i stanie się i ono czemś wspólnem. Znowu będą bliscy sobie, jak dawniej. Ale zawsze myślał: nie teraz jeszcze. Ubliżyła mu — niech czeka, aż on zapomni.

Tylko, że nie czekała.

Trudno pojąć, że wszystko mogło stać się tak nagle. Anna poprostu zachorowała i umarła. Zakończyło to całą sprawę. A chcieli przecież, żeby było całkiem inaczej. Sam nawet nie wiedział, jak bardzo mu będzie brakowało tego, co było i tego, co mogło być.

— — — — — — — — —

— Anno, czy lepiej się czujesz?

— Nie wiem.

— Czy nie chciałabyś... Może chcesz mi powiedzieć o czemś? Myślałem...

— Już powiedziałam wszystko. Jutro matka przyjedzie, z nią pomówisz o reszcie. A majątku i tak nie zostawiam.

— Nie o tem...

Anna ma mocno zaczerwienione policzki i oczy szklane.

— Nie o tem?

— Wiesz przecież — szepcze Witold — wiesz przecież. O tamtych sprawach, o których chciałaś powiedzieć nieraz.

Anna uśmiecha się. Jakie to dziwne, że ona kiedyś płakała. Ma uśmiech gorzki i mądry.

— Nie mam już nic do powiedzenia.

— A... o... tamtym?

— O tym nie będę mówiła.

Ale Witold chce wiedzieć. Teraz chce koniecznie wiedzieć. Co myślała i czuła wtedy, kiedy odeszła od niego i potem, po powrocie i teraz. Bo przecież to wszystko jest jego własnością i wszystko miała mu powiedzieć kiedyś, — czekała tylko na jego zgodę.

A teraz milczy. Ma usta zaciśnięte, jak on w tamte noce, kiedy udawał, że śpi. Lampa przyćmiona, ręce ciężko leżą na kołdrze.

— Anno — mówi Witold — Anno, chcę, żebyś mnie zrozumiała...

Anna przymyka oczy. Właściwie nie jest ładna, nigdy nie była ładna. I jeszcze ta awantura z muzykiem. To takie dziwne i nie do pojęcia, że umiera.

— Teraz musisz wyzdrowieć, a potem będzie nam już dobrze. Będziemy żyli całkiem inaczej, zobaczysz.

— Tak, tak, całkiem inaczej — powtarza sennie Anna.

— Będziemy mówili sobie wszystko, jak dawniej. Pamiętasz?

Anna milczy.

Teraz już Witold jej niepotrzebny. Oto jest u kresu i nie boi się samotności. To, co myślała, czy czuła przez te ostatnie lata, zabiera z sobą. To jej własność i z tem odejdzie. Co za cudowna rzecz wiedzieć, że z nią razem umiera cały jej świat.

Przeżywa teraz swoje życie. Spokojnie, nie trzeba się spieszyć. Żadna rzecz teraz nie jest dobra, ani zła poprostu j e s t, nic więcej. Żaden człowiek nie zamąci jej więcej spokoju.

— Anno — Witold pochyla się nisko nad nią. — Czy jeszcze mnie poznajesz? Powiedz coś.

Ale Anna staje teraz twarzą w twarz z wielką samotnością. Poco ten obcy głos przeszkadza jej jeszcze? Po raz pierwszy w życiu Anna, małe, bezradne stworzenie, chce być sama...

— — — — — — — — —

Księżyc nie świeci i wieje silny wiatr. Żaluzje stukają u szczytu okien. W ulicy ciemnej i pustej nie można dojrzeć nikogo.

Obcy człowiek przeszedł.

Witold do tej chwili słyszy jego szlochanie. I jego, i swoje własne, i Anny.

Czemu nie spytał tamtego człowieka, co mu się stało, czemu nie pomógł?

Nie zaśnie już tej nocy.

— Anno, Anno — nikt nie pomoże ani mnie, ani tamtemu, ani tobie. Słyszymy krzyk innego człowieka i przychodzimy za późno. Wołamy daremnie w samotności, żyjemy i umieramy w samotności — wiem o tem.

A jednak straszno pomyśleć, że tamten człowiek odszedł bez pomocy i idzie teraz w ciemności, niewiadomo dokąd, samotny.

I ty, Anno.

I ja...

KONKURENCJA TEŻ MUSI ŻYĆ!

HUMORESKA

ANDRÉ POLTZER

Jonny Tillerkox nie był już bynajmniej młodym człowiekiem, chciał jednak żyć i to możliwie dobrze. Leżąc na bujającym fotelu, który był ostatniem wspomnieniem przeszłej prosperity, zagłębiał się w lekturze gazety „Kansas Herold", studjując małe anonse.

Przez dłuższy czas oczy Jonniego spoczywały na jakiemś ogłoszeniu i widać było, że chce powziąć decyzję.

„Służący, silnie zbudowany (najchętniej buchalter, znający się na bilansach) poszukiwany do fabryki krepy żałobnej" — brzmiało ogłoszenie. Jonnym aż wstrząsnęło. Ręka z gazetą opadła mu ku ziemi, a wzrok powędrował w stronę oleodruku, wiszącego na ścianie, a przedstawiającego śmierć Linkolna. Naraz Jonny wydał przejmujący okrzyk. Cóż mogło tak dalece wzruszyć go przy lekturze środka na porost włosów? Czyżby myślał o dawno do przeszłości należących blond lokach, któremi zamierzał zastąpić lśniącą łysinę? Nie! Jonny doznał niejako objawienia, a boski genjusz spłynął na jego głowę. W pewnej chwili podskoczył i jednym susem znalazł się przy żelaznej maszynce, stojącej w rogu pokoju. Wkrótce dało się słyszeć suche pukanie, podobne do odgłosów, wydawanych przez karabin maszynowy. Nie była to jednak ta mordercza broń, lecz poprostu maszyna do pisania, okaz muzealny, który w bazarze Kolbera (oddział starego żelaza), kosztował dwa dolary.

Jonny przebiegł oczami zapisany arkusz, a zwycięski uśmiech okrasił jego twarz. — List brzmiał następująco:

„Szanowni Panowie. Uważam za mój święty obowiązek zakomunikować Panom, że środkowi na porost włosów „Monso" zawdzięczam szczęście, zdrowie i majątek. Moja głowa wyglądała doniedawna jak pustynia, a ja sam byłem stale zaziębiony. Po użyciu jednak siedmiu flaszek eliksiru Panów (gatunek specjalny, cena 3.75 dol.), na głowie mojej począł bujnie rosnąć gęsty las wspaniałych włosów, który może śmiało konkurować z uwłosieniem hollywoodzkich lwów filmowych. Dziewczę, które dotychczas miało dla mnie, starego człowieka, tylko ironiczny uśmiech, darowało mi teraz, jako młodemu człowiekowi, bez zastrzeżeń swoje serce i majątek ojcowski, złożony w banku. Poza tem żaden wiatr nie jest zdolny przyprawić mnie o katar"

— Lepiej byłby listu tego nie napisał nawet Sinclair Lewis — myślał sobie Jonny, wkładając list do koperty

Już po dwóch dniach otrzymał odpowiedź. Właściciel wytwórni eliksiru na porost włosów prosił Jonniego w uprzejmych słowach o pozwolenie opublikowania jego oświadczenia. Do listu dołączony był czek na sto dolarów.

Od tej chwili stara maszyna Jonniego nie przestała terkotać przez cały dzień. Jeden list dziękczynny następował po drugim. Dziękował on właścicielowi fabryki krążków na odciski Smithowi, które uratowały Jonniemu życie, pewnej hodowli kanarków za dostarczone wspaniałe okazy tego ptaka, który swoim śpiewem czynił radjo, gramofon i operę rzeczami niepotrzebnemi, a dalej dziękował również fabryce maszynek do ostrzenia noży. Jonny oświadczał swą gotowość zaświadczenia, że sztuczne masło „Mary Pickford" jest najlepszem na świecie, a guma do żucia „White House" najbardziej lepka, że nietłuczące się szkła do zegarków „Impeccable" nie pękają nawet pod uderzeniem młota hidraulicznego. Przysięgał w swoich listach, że w przeciągu siedmiu godzin oduczył się jąkania, stosując system profesora Wonderfoy, a że w przeciągu dni trzech posiadł tajnik gry na fortepianie, ucząc się systemem Hoowera.

Nadzieje Jonniego spełniały się nadspodziewanie dobrze. Codziennie przychodziły listy od różnych, mile zdziwionych fabrykantów i wynalazców. Oni wszyscy prosili Jonniego, aby zezwolił im na zużytkowanie jego oświadczenia. Gdy przy liście nie było czeku, wystarczało tylko lekkie napomnienie Jonniego, aby zjawił się on w kilka dni później Pewnego razu nadesłał Jonniemu fabrykant gorsetów, któremu Jonny dziękował w imieniu nieistniejącej małżonki, zamiast pieniędzy, tuzin pięknych, obszytych koronkami biustników.

Już wkrótce, po rozpoczęciu tak głęboko przemyślanej akcji, Jonny nie mógł sobie dać rady z pracą, pomimo, iż zaangażował kilka sił pomocniczych. Ale był też pewien specjalny powód, dla którego posługiwał się urzędnikami; wstyd mu było zaświadczać równocześnie, że przy pomocy tabletek X stracił w przeciągu czterech tygodni 18 funtów, stosując zaś syrop Z (duża flaszka 2.25 dol.), przytył 20 funtów Ale Jonny i w tym wypadku znalazł wyjście. Założył poprostu „Washington-Company, Towarzystwo pisania dziękczynnych listów". Prezesem towarzystwa został oczywiście sam Jonny Tillerkox. Towarzystwo to posiadało oczywiście również oddział literacki. Pozostawał on pod kierownictwem pewnego niemieckiego poety, laureata nagrody klasyków i miał za zadanie piękne, stylistyczne wypracowanie podziękowań, które pod nazwiskami różnych fikcyjnych postaci rozsyłano po całym świecie.

Przedsiębiorstwo cieszyło się wkrótce olbrzymiem powodzeniem. Po pierwszym roku swojej działalności, mogło ono wypłacić swoim akcjonarjuszom 100% dywidendy. Lecz wnet zaszło coś, co było oczywistą koniecznością: zjawiła się konkurencja. Było to towarzystwo „Franklin Corporation", której prezesem był zdymisjonowany dyrektor „Washington Company". Nowy konkurent starał się pobić „Washington Company", posiadającą już stałe ceny, obniżając je o połowę.

Prezes towarzystwa, Tillerkox przygotowywał się do decydującego uderzenia. Trzeba było przyznać, że się ono w pełni udało. Sam laureat nagrody klasyków wypracował nowy prospekt ułożony wierszem, który został rozesłany klientom. Na końcu prospektu widniał napis, wydrukowany tłustą czcionką: „Liczne listy dziękczynne, skierowane pod naszym adresem, przekonują o skuteczności naszych listów dziękczynnych" W postaci faksimile przytoczono kilka takich podziękowań, jako przykład działalności sławnej firmy.

I „Washington Company, towarzystwo pisania dziękczynnych listów", posiadało rzeczywiście sporą ilość takich podziękowań. Dodać trzeba, że nie były one sfabrykowane przez nią samą: „Washington Company" było przedsiębiorstwem zbyt poważnem, aby się posługiwać takiemi trickami. Zaświadczenia skuteczności pracy towarzystwa zamówił prezes jego, Tillerkox, w „Franklin Corporation" i zapłacił je gotówką!

(Tłum. *JGM.*)



Płaszcz, przybrany niezwykle efektownie srebrnymi lisami.

Co widziałam w Paryżu?

Na całość tego co określamy słowami: elegancja, szyk, dystynkcja ubioru, składa się niezliczone mnóstwo szczegółów, których wszystkie nuanse i tajemnice znane są tylko w metropoljach mody. Wiemy, jak czasami jeden szczęśliwy w pomyśle i użyciu szczegół ubioru podnosi klasę najskromniejszej toalety. Oto garść tych szczegółów, zebranych w wielkich paryskich magazynach mody, dla użytku Czytelniczek „Asa". Zwracamy na nie uwagę, ponieważ one to właśnie nadają ton modzie jesiennej i podkreślają jej tendencję.

Rano płaszcz lub komplet granatowy, bordeaux, lila czy też zielony; popołudniu rozmaite czarne toalety, których szyk podnoszą szczegóły w żywych odcieniach...

Płaszcz wełniany czarny lub w jakimś bardzo ciemnym odcieniu, podbity lżejszym materjałem w odcieniu bardzo żywym: niebieskim, zielonym, żółtym, wiśniowym i t. p. Do niego bluza z tegosamego materjału barwnego...

Ubiory w stylu „półna pół", n. p. kamizelka o przodzie żółtym i bronzowych plecach, albo czarny płaszcz podbity podszewką w połowie niebieską i czerwoną, do niego kamizelka, której plecy są wykonane z czarnego materjału a przody czerwone z niebieskim, podbite kontrastowo, — czerwone-niebieskim, niebieskie-czerwonem...

Bluzy czy też suknie o przodach stanika bardzo pracowicie wykonanych, przy pomocy udrapowania materjału, plis, zakładek i t. p.

Komplet sportowy w szkocką kratę, łączony z gładkim materjałem, w odcieniu tymsamym lub kontrastującym. Żakiet jest dwustrony: można go nosić wierzchem gładkim lub kratkowanym. Odpowiedni kapelusik szkocki...

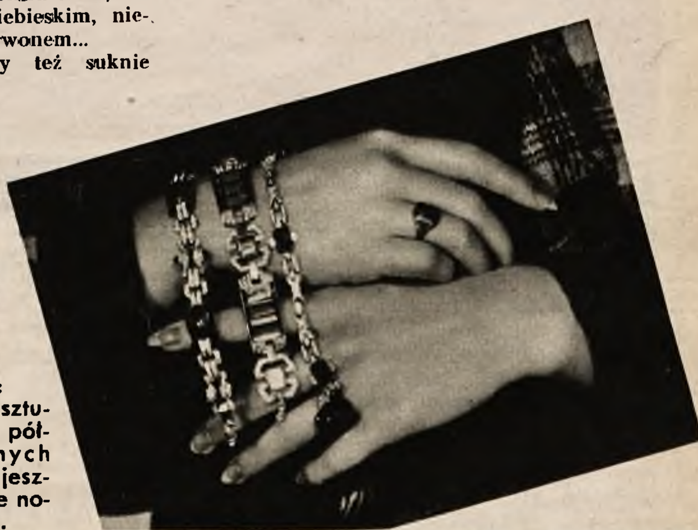
Oryginalne kieszenie przy kostjumie czy płaszczu. Są one albo w zakładki, albo jak gdyby składane z kilku kieszeni różnej wielkości...

Bluzy wiązane na linji bioder.

Do sukni wieczorowej bolero z tegosamego materjału, wykończone dokoła wielkiemi koralami z drzewa w dobranym żywym kolorze...

Bogate wyszywania przodów: kamizelki, płaszcze, sukien wizytowych na większe i mniejsze przyjęcia. Do ubiorów przeznaczonych do użytku w dzień będą to wyszycia matowe, n. p. sutaszem, natomiast do

Dokończenie na str. 26



Na prawo: Ozdoby z sztucznych i półszlachetnych kamieni są jeszcze chętnie noszone...





Od lewej: Oryginalny płaszcz z dywetyny, do niego w tym samym kolorze kapelusz z szerokiem rondem i zamszowe rękawiczki. — Ten sam płaszcz, widziany ztyłu, odznacza się niezwykłą formą rękawów.

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XXI.



Powyżej: Pierwsza poza ćwiczenia.

Dzisiaj zabawimy się na naszej lekcji gimnastyki w inżynierów, budujących mosty na... posadzce — mosty z żywego ciała.

Siadamy na podłodze, ustawiamy nogi stopami jak najbliżej bioder, ale szeroko rozchylone, ramiona układamy tuż przy tułowiu, opierając dłonie na ziemi. Następnie silnie wznosimy się w górę w ten sposób, aby uda, tułów i głowa tworzyły równą linję poziomą. Ćwiczenie to powtarzamy kilka razy w szybkiem tempie. Potem staramy się podnieść jednym podskokiem i stajemy prosto. Odczuwamy przytem silne naciągnięcie mięśni ud, brzucha i pleców. Ale to jest konieczne. Gdy już „budowanie mostu" nie sprawia nam wielkiej trudności, starajmy się w tej pozycji zrobić kilka kroków.

Następne ćwiczenie jest jeszcze trudniejsze. Kładziemy się na wznak, opieramy stopy szeroko rozstawione, lecz blisko tułowia, na podłodze. Dłonie układamy koło głowy w ten sposób, że wewnętrzna strona podramienia ułożona jest na zewnątrz. W tej pozycji unosimy znowu cały korpus ku górze. Musimy zwrócić na to uwagę, że przy tem ćwiczeniu nie wolno napinać muskułów ramion, lecz wyłącznie chodzi o napięcie bioder i muskułów nóg. Tułów tworzy w tym wypadku linję łuku od głowy do kolan. W tej pozycji staramy się podnieść jedno ramię i posunąć się o kilka kroków naprzód.

Przyznajemy, że wysiłek, który wkładamy w te ćwiczenia, jest bardzo wielki. Plecy muszą porządnie boleć, o ile ćwiczenia są wykonane prawidłowo. Aby muskuły pleców odprężyć, musimy zastosować ćwiczenie rekompensacyjne. Stajemy prosto, następnie pochylamy górną część tułowia ku przodowi, aby zwisała bez ruchu. W tej pozycji nie wykonujemy żadnego poruszenia, aby na obieg krwi działało wyłącznie uczucie ciężaru pochylonej górnej części tułowia. Po tym odpoczynku możemy ćwiczenia podjąć na nowo, zawsze jednak pamiętając, że nie wolno nam się przemęczać. W tym bowiem wypadku nie odnosimy z ćwiczeń najmniejszej korzyści.

Poniżej: Druga poza ćwiczenia.



Dokończenie ze str. 25

użytku wieczorowego używa się kolorowych koralików, pailletów, nici srebrnych i złotych i t. d...

Wyszycia włóczką, dowolnie dobraną, na płaszczach z aksamitu.

Do sukien wieczorowych paski ze skóry jaszczurczej, ozdabianej pailletami, w kolorach n. p. zielonym i czerwonym.

Kwiaty z celofanu do wieczorowej fryzury...

Dużo clipsów, które w dzień zajmują np. miejsce guzików przy staniku, a wieczorem służą do podtrzymania loczków przy fryzurze...

Guziki najoryginalniejszych kształtów: serc, instrumentów muzycznych, rąk, główek zwierzęcych i t. d...

Przy suknj wieczorowej z crêpe satin, bez rękawów a z wąziutkiemi ramiączkami, jedno ramiączko ze strusiego pióra. Jako uzupełnienie toalety duży wachlarz z piór strusich tego samego koloru...

Rękawy przy sukniach wieczorowych jak najbardziej fantazyjne, n. p. w formie dwubarwnych skrzydeł. Maggy Rouff przy zielonym i różowym odcieniu takich rękawów czarnej toalety otacza szyję modelu dwubarwną falą materjału, n. p. velour chiffon, tworząc z dwu stron szyi duże wiązania „chous" jedno zielone, drugie różowe. Przy sukni jasnej, można zastosować taki ozdobny kołnierz czarny.

Mewa.

Dokończenie z str. 12-ej.

ję się, że zanim to się stanie, wir sprzecznych uczuć, który szaleje we mnie, porwie mnie w swój zawrotny lej i że popełnię coś strasznego. Kto wie jednak czy właśnie nie trzeba popełnić czegoś strasznego, czegoś wzniośle i heroicznie beznadziejnego, aby w ten bodaj sposób dumnie zaprotestować przeciw człowieczej krzywdzie.

25. VIII. późnym wieczorem.

A więc stało się. Jestem już zdecydowany. Wiem jaką drogą należy mi kroczyć. Jestem spokojny i pewny. Żadna siła nie potrafi już zmienić mego postanowienia. Wiem co robęi, wiem że palę za sobą wszystkie mosty, które mnie łączyły ze światem moich dotychczasowych prac i umiłowań. Ale tak być musi. Idę w drogę, by szukać sprawiedliwości i walczyć o nią.

Dzisiaj wreszcie zrozumiałem go. Pojąłem, że hańbą jest wśród miłego ciepła domowego ogniska wykonywać bogobojne i czcigodne obowiązki, dopóki płynie na świecie choć jedna nieotarta łza, dopóki choć jeden żebrak siedzi beznadziejnie w rowie przydrożnym. On mi to dziś mówił i pojąłem go. Stałem przy oknie na wprost niego, na całym widnokręgu nie było nikogo i niczego, tylko on, on olbrzymi, potworny, on oskarżający i grożący. Stałem tak długo jak urzeczony, tą nowo zdobytą świadomością. W pewnej chwili zbliżyła się do mnie Zośka. Widzisz? — szepnąłem drżąc cały. I zdawało mi się w tej chwili że noa mnie zrozumiała. Jeżeli mnie zrozumiała, to przebaczy mi to co uczynię. A jeżeli nie zrozumiała mnie wtedy, to tem bardziej należy mi ją rzucić.

A więc idę. Niech wszystko zostanie tak jak jest. Najdrobniejszego skrawka nie chcę wziąć ze sobą z tego mojego starego, już skończonego życia. Rozpoczynam od nowa. Nie żal mi niczego. Jestem silny i szczęśliwy. Otwieram okno i widzę przed sobą cichą, senną noc. Poprzez tę noc kroczyć będę za chwilę naprzód, aż dojdę do jasnego dnia, który wstając zaróżowiony, opromieni cały świat.

Te kartki już mi niepotrzebne. Wrzucę je do pieca i spalę. Niech nikt...

IV.

Na tem urywał się rękopis. Reszta jego była zwęglona i naprożno detektyw starał się ją odcyfrować. Dał więc za wygraną i długo siedział na ocalałymi stronnicami pogrążony w milczeniu. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Głupiec, czy warjat? Nie rozumiem — mruknął do siebie. Raz jeszcze wzruszył ramionami, wstał, wrzucił rękopis z powrotem do pieca. Po czem wolno wyszedł z pokoju. Głucho trzasnęły za nim zamykane drzwi.

I tak oto na zawsze pozostała niewyjaśniona tajemnica Alfreda Godziemby, jedyna sprawa, której nigdy nie zdołał rozwiązać znakomity detektyw Ralf Sochor.



1 2 3 4 5 6 7 8

SZALE I CHUSTKI

Rola różnych pomocniczych przedmiotów w męskiej garderobie jest nieraz niedoceniana. Jakże często spotkać można takiego gentlemana, który pragnąc uniknąć niepotrzebnego jego zdaniem „przemęczania się", eliminuje niemal w zupełności spinki od mankietów ze swej garderoby i zamawia koszule, przy których rękawy zapinane są na perłowe guziki. Taki „wygodnicki" zapomina jednak o tem, że ten sposób zapinania mankietów dopuszczalny jest wyłącznie przy koszulach sportowych, lub ostatecznie takich, które nosimy do ubrań t. zw. kolorowych. Wszystkie ciemne garnitury, choć noszone „na codzień", a już wogóle ubrania wizytowe i wieczorowe poprostu nie znoszą przy koszuli mankiet pojedynczych z zaokrąglonemi końcami i jedną dziurką, którą przytrzymuje perłowy guziczek. Do tego rodzaju strojów wymagana jest koszula z podwójnym mankietem, ozdobionym odpowiednią spinką, której wygląd zawsze świadczyć będzie o dobrym guście noszącego ją.

Jeszcze częściej spotykamy mężczyzn, którzy np. nie uznają szali i chustek, jako koniecznej izolacji, chroniącej kołnierz koszuli, no i marynarki przed zabrudzeniem się. Jedni wymagają od tego kawałka materjału, by spełniał rolę wełnianego lub jedwabnego kaloryfera i w tym wypadku nie zwracają uwagi ani na rodzaj materjału, ani też na kolor i wzór, nosząc nieraz do wieczorowego płaszcza szal sportowy, jako najbardziej ich zdaniem ciepły „bandaż" na szyję, — drudzy znów bez zastanowienia sięgną po subtelną chustę jedwabną wówczas, gdy przyjdzie im podróżować milami w ciężkiem futrze sportowem, które mimo wszystko wymaga zastosowania np. szala włóczkowego.

Jedno jest pewnem, że tylko ten będzie miał w tym względzie rację, kto przestrzegając wymagań mody w zakresie barw, gatunku materjałów i wzorów szali i chustek w odniesieniu do rozmaitego charakteru płaszczy i futer, oceni ten mały kawałek materjału, którym owija szyję, nietylko jako „kaloryfer" i „ochraniacz" ale również i przedewszystkiem jako składową, nieodzowną część stroju dobrze ubranego mężczyzny. Wówczas wybór samego koloru i wzoru szala czy chustki nie będzie trudniejszy od wyboru np. krawatu, bez którego szanujący się mężczyzna nie wyjdzie przecież na ulicę.

I tu możemy przeprowadzić pewną zasadniczą analogję. Śmiem bowiem twierdzić, że szal i chustka uzupełniają nasz płaszcz lub futro w tej samej mierze, co krawat marynarkę. Dlatego więc pomijanie ich w zestawieniu repertuaru ubraniowego należy uznać za „grubsze" przekroczenie kodeksu mody męskiej.

Brummel.

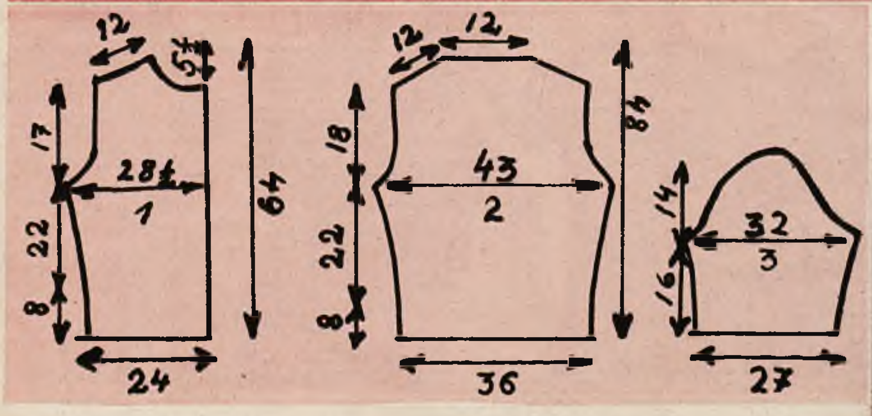
RODZAJ WIERZCHNIEGO OKRYCIA	CHARAKTER SZALA	MATERJAŁ	KOLOR	WZÓR
● Palto dwurzędowe 1	Szal/chustka	Jedwab tkany	Granatowy, niebieski, brązowy z wzorem w czerwonym, białym, zielonym, popielatym, żółtym, beige	Krata, figury
● Płaszcz wiecz. (Frak) 2	Szal	Jedwab — szydełkowy	Biały	Bez wzoru
● Płaszcz wiecz. (Smoking) 3	Chustka	Crêpe de Chine	Gołąbkowy, czarny z białym, popielaty	Bez wzoru, albo paski
● Futro na miasto 4	Szal/chustka	Jedwab tkany/drukowany	Granatowy, popielaty — połączenia zielonego, złotawego, bordeaux	Krata, motywy kaszmirskie
● Chesterfield 5	Szal/chustka	Jedwab tkany	Niebieski, granatowy, żółty, brązowy z wzorem w czerwonym, białym, zielonym, popielatym, beige	Paski, figury
● Raglan 6	Szal/chustka	Wełna/jedwab drukowany	Czerwony, niebieski, brązowy, zielony, granatowy	Małe i duże figury
● Futro sportowe 7	Szal	Wełna — szydełkowy	Rezeda, czerwony, beige, brązowy, żółty	Paski, krata
● Płaszcz do podróży 8	Szal	Wełna — tkany	W żywych kolorach, albo jednobarwny	Paski, krata



Od góry: Szal wełniany. — Szal z grubo tkanego sztucznego jedwabiu. — Chustka z jedwabiu drukowanego.

PRZEBÓJ ★ JESIENNEGO ★ SEZONU:

Kostjum z ręcznego trykotu



Krój bluzki.

Dawno już wyszły ręczne trykotaże ze stadjum kaftaników i chustek i obecnie wchodzą coraz śmielej w dziedzinę mody, zdawałoby się, nazawsze przed niemi zamkniętą. A więc wszelkiego rodzaju żakieciki sportowe, bluzki, nawet suknie balowe z miękkich przędz jedwabnych. Nic więc dziwnego, że panująca obecnie wielka moda kostjumów przyniosła zastosowanie ręcznego trykotu i do tego ulubionego przez wszystkie panie stroju. Dwa ważne względy przyczyniły się do zwycięstwa tych kostjumów. Jeden to nieograniczone możliwości kombinowania wełn i ściegów, przez co każda pani może mieć na swój kostjum materjał oryginalny, zupełnie dostosowany do jej „stylu" i gustu. Fabryki włóczek opracowały na obecny sezon jesienny i zimowy bogaty zasób włóczek o charakterze czysto sportowym, bądź fantazyjnym, które można zestawiać i kombinować w najrozmaitsze połączenia. Drugim względem są właściwości ręcznego trykotu, dającego materjał o nadzwyczajnej miękkości i ślicznie się układający, a więc nawet przy niezbyt dobrym kroju poszczególnych części całość układa się doskonale, podkreślając zgrabne linje postaci. Także dla pań o figurze niezupełnie... klasycznej można dobrać krój i barwę korygującą błędy. Jedynie tylko dla pań bardzo tęgich ten elegancki i praktyczny strój będzie niewskazany, ale przecież dziś wszystkie panie mają sylwetkę smukłą. A więc na jesień i sezon przejściowy w garderobie żadnej eleganckiej pani nie powinno zabraknąć ręcznie wykonanego z puszystej włóczki kostjumu.

Z dobraniem odpowiedniego do sylwetki fasonu i odpowiadającej mu włóczki nie będzie żadnego kłopotu. Z bogatego wyboru włóczek marki „Trójkąt w Kole" możemy polecić na sportowy kostjum o żakieciku wysoko pod szyję zapiętym z małym kołnierzykiem włóczki „Olimpijską", „Polo", „Maraton", wreszcie „Syrenę" z dodatkiem „Liry" lub „Oriona". Na fasony fantazyjne nadaje się włóczka „Kora", „Sto Kropek" lub „Salamandra". Naturalnie nie może się taki kostjum obyć bez odpowiedniej bluzeczki na dni cieplejsze; będzie to gładki pulowerek z matowego „Peau d'Ange" w drobne motywy z perełek. Na chłodniejsze dni bluzeczka z grubej angory z kołnierzykiem wiązanym pod szyją, wreszcie ostatnia nowość do celów przeważnie sportowych: kamizelka z grubej puszystej „Tęczy" wyszywana w różnobarwne motywy kwiatowe lub figuralne.

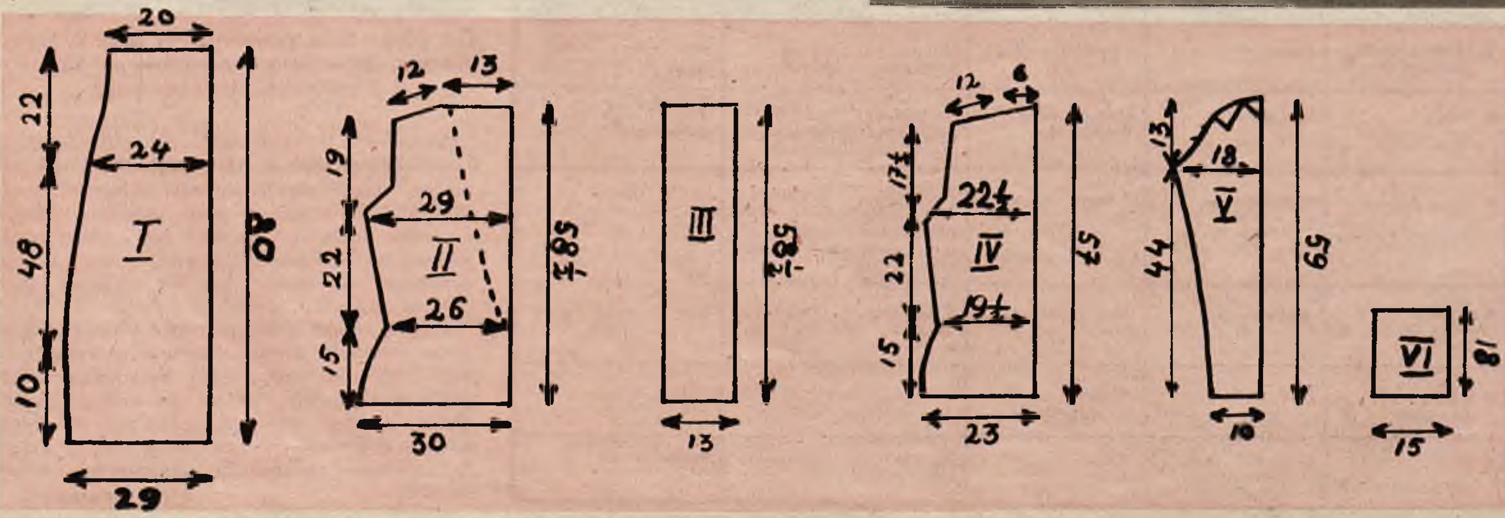
Aby paniom zaintersowanym tą nową modą ułatwić wykonanie pięknego kostjumu podajemy dokładny opis

dokończenie na str. 31-ej.



Na prawo: Model pięknego i praktycznego kostjumu trykotowego. *Fot. George Saad.*

Poniżej: Krój żakietu.



Pięcioraczki kanadyjskie

potwierdzają ....



„Po przyjściu na świat i przez pewien czas potem, Pięcioraczki kanadyjskie kąpane były w olejku oliwkowym... Z chwilą, gdy można je było kąpać w wodzie z mydłem, wybraliśmy wyłącznie mydło Palmolive do codziennej kąpieli tych sławnych w całym świecie dzieci."

Dr. Allan Roy Dafoe

już w najmłodszym wieku należy starać się o cerę Palmolive

CZYŻ nie są śliczne? Czy nie chcielibyście ucałować ich małych, delikatnych buziaczków? Ich skóra jest tak miękka, świeża i czysta! I nie ma się czemu dziwić! Gdy przyszły bowiem na świat przeszło 3 lata temu, tak maleńkie i delikatne, kąpano je codziennie w czystym olejku oliwkowym; nie można było znaleźć nic bardziej łagodnego i odpowiedniejszego do pielęgnowania tych maleństw, dla których nic nie jest za drogie. Te właśnie kąpiele w olejku oliwkowym dały im świeżość i czystość ciała. A teraz codzienne używanie mydła na olejku oliwkowym Palmolive zapewnia Pięcioraczkom piękną cerę.

Każda kobieta winna postępować w myśl przepisów Dr. Dafoe dla Pięcioraczków i używać mydła Palmolive dla zdobycia i zachowania pięknej cery.

Żadnych tłuszczów zwierzęcych – żadnych sztucznych barwników! Jedynie cenne oleje roślinne są używane do mydła Palmolive.

Uzyskasz piękną cerę stosując oryginalne mydło Palmolive do twarzy i kąpieli. Nie daj się przekonać do kupna tańszych mydeł niepewnego gatunku.



Dla utrzymania pięknej cery używajcie tego idealnego mydła wybranego dla Pięcioraczków.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3—4 osoby.

ZIMNA ZUPA Z BRUSZNIC (KOTLESZAL). Szklankę przebranych brusznic, rozgotowuje się w litrze wody, przeciera przez sito i słodzi wedle upodobania. Ostudzony płyn miesza się z pół litrem dobrego mleka, rozlewa do filiżanek i podaje dobrze zastudzone z biszkoptami. Zupa powinna zgęstnieć na rodzaj kremu.

KAPUŚNIACZEK NA ŚMIETANIE. Małą główkę białej, tz. polskiej kapusty, kraje się w ćwiartki zalewa wrzącą wodą, gotuje przez kilka minut, następnie odcedza na sicie. Na łyżce masła smaży się troszkę posiekanej cebulki, wkłada osączoną i drobno pokrajaną kapustę, podlewa rosołem lub wodą i dusi do miękkości. Szklankę kwaśnej śmietany rozkłuca się z łyżką mąki, szczyptą soli, cukru i pieprzu, podprawia tem kapustę, poddusza chwilę, następnie dolewa rosołu lub wody w potrzebnej ilości, zagotowuje raz jeszcze i wylewa do wazy na roztarte w niej żółtko. Do zupy tej podaje się osobno świeże ziemniaczki polane rumianem masłem.

PASZTET Z GRZYBÓW (PRZYSTAWKA). Młode grzybki oskrobuje się z ziemi, następnie dobrze płucze pod kranem, aby były zupełnie czyste. (Nie należy płukać grzybów pokrajanych, bo tracą swój aromat). Tak przygotowane, cieniutko pokrajane grzybki, daje się wraz z łyżką masła do ryneczki, dodaje małą, drobno skrajaną cebulkę i dusi tylko w własnym soku, który się w trakcie duszenia wytwarza, uważać jednak należy, by grzybki się nie przypaliły. Osobno gotuje się pół kg ziemnaków. Odlane z wody, przeciska się je przez maszynkę, dodaje pół szklanki gorącego mleka, łyżkę masła i łyżeczkę drobno posiekanej pietruszki i uciera na zupełnie gładkie, pulchne purée. Do rondelka, natartego masłem i wysypanego bułeczką, daje się połowę purée ziemnaczanego, na to grzybki uduszone. Do drugiej połowy ziemniaczków dodaje się jedno całe jaje i 1 żółtko i uciera jeszcze chwilę, następnie nakłada je na grzybki; obrównany nożem kropi się pasztet masłem i posypuje bułeczką, następnie wstawia na pół godziny do gorącego piecyka.

DOŁECZKI LUB BUDYŃ Z SZPINAKU. 25 dkg obranego szpinaku parzy się, odcedza, następnie przemiela w maszynce wraz z małą bułeczką, otartą z wierzchniej skórki i rozmoczoną w mleku. 3 żółtka uciera się na pianę z 6 dkg masła. Szpinak dusi się z łyżką masła przez 15 minut, przestudza, miesza z utartem z żółtkami masłem, dodaje 10 dkg szynki lub wędzonego mięsa, szczyptę soli — o ile mięso nie było dość słone, — troszkę gałki muszkatułowej lub papryki, wkońcu pianę z 3 białek. Z masy tej wysmaża się z obu stron na małej patelce dołeczki, można też napełnić masą formę budyniową i gotować na parze przez godzinę. Budyń podaje się polany rumianem masłem. Do dołeczków podać można zieloną sałatę.

KARP PO GOSPODARSKU. Karpia oskrobuje się z łusek, obmywa z wierzchu, następnie otwiera i wyjmuje wnętrzności. Mleczko wkłada się do zimnej wody, resztę wnętrzności, po odrzuceniu żółci i jelita, nastawia się do gotowania z kawałkiem pietruszki i marchewki. Karpia nasala się i odstawia w chłodne miejsce na kilka godzin. **Nadzianka:** Dwie mało bułeczki uciera się z wierzchniej skórki i polewa rosołem, nagotowanym z odpadków ryby, tylko tyle, aby bułka rozmiękła. Łyżkę masła uciera się na pianę z dwoma jajami, dodaje rozmoczoną bułkę, soli i pieprzu, troszkę skórki cytrynowej, oraz pokrajane drobno mleczka ryby. O ile farsz okazałby się za wolny, dodaje się parę łyżek tartej bułki. Rybę napełnioną farszem zaszywa się, układa na długiej brytwance grzbietem do góry na podłożonem maśle, nakrawa zlekka skórę ryby, polewa masłem i wstawia do gorącego piecyka, gdzie się ma piec 25—35 minut przy częstem polewaniu masłem oraz w razie wysychania rosołem, przedtem nagotowanym z odpadków. Pod koniec pieczenia posypuje się rybę tartą bułeczką (dla amatorów z parmezanem), polewa masłem i zapieka kruchą skórkę na rybie. Rybę wykłada się w całości lub pokrajaną i znów w całości złożoną na długi półmisek, polewa odgotowanym w brytwance sosem. Jako dodatek podaje się sałatę jarzynową ostrą lub tarte ziemniaczki.

OBWARZANECZKI WILEŃSKIE. Z paru jaj, troszki soli oraz potrzebnej ilości mąki, zagniata się tęgie ciasto, jak na makaron. Wygniatać należy dość długo, aby ciasto było zupełnie gładkie. Z ciasta formuje się cienkie wałeczki, kraje w równe kawałki i zwija z nich okrągłe wianuszki. W obszernem naczyniu zagotowuje się wodę i rzuca na nią obwarzaneczki, po kilka naraz, nakrywa naczynie pokrywą i gotuje chwilkę. Gdy ciasto naróśnie do podwójnej grubości, wyjmuje się je na natartą masłem blachę i piecze w gorącym piecyku.

Sc. Ko.

PANI DOMU SAMA ZAGLĄDA DO KUCHNI



Słynna mistrzyni łyżwiarstwa, Sonja Henie, która niedawno zadebjutowała w filmie — mieszka obecnie wraz ze swoją matką stale w Hollywood, zajmując jedną z pięknych will w ogrodowej dzielnicy stolicy filmu. Jak widzimy na naszem zdjęciu, Sonja Henie zajmuje się osobiście gospodarstwem, pomimo, że posiada wykwalifikowaną służbę. — Z prawdziwem amatorstwem przyrządza ona ulubione norweskie potrawy dla swej matki. *Fot. Wide World, Londyn*

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 42	Październik — 31 dni
NIEDZIELA **10** Franciszka	Rosół z groszkiem ptysiowym. Sztuka mięsa zapiekana w sosie musztardowym. Szynka cielęca pieczona w cieście z sałatą z pomidorów i papryki. Suflet z jabłek. Kolacja: Zimna szynka cielęca z sałatą ziemniaczaną z śledziem.
PONIEDZ. **11** Wincentego K.	Grochówka na wędzonce z grzankami. Budyń szpinakowy. Rosbef po angielsku w garniturze z jarzyn. Kompot z ostrężyn z kruchemi ciastkami. Kolacja: Jaja w sosie chrzanowym.
WTOREK **12** Maksymiljana	Kapuśniaczek na śmietanie. Wędzonka z purée grochowem. Zraziki cielęce w sosie pomidorowym z ryżem. Kompot z gruszek z wanilją. Kolacja: Rydze duszone z ziemniaczkami.
ŚRODA **13** Edwarda kr.	Zupa kalafiorowa z grzankami. Pasztet z grzybów. Kaczka nadziewana jabłkami z kaszką częstochowską. Strudel tyrolski. Kolacja: Parówki z chrzanem.
CZWARTEK **14** Kaliksta	Zupa jabłczana z ziemniaczkiem. Kotlety z włoskiej kapusty w cieście. Zrazy sarnie lub jelenie w sosie brusznicowym z makaronem. Kruche torciki z konfiturą. Kolacja: Rizotto z szynką lub groszkiem.
PIĄTEK **15** Teresy, Jadwigi	Grzybówka z płatkami. Omlety z szpinakiem. Karp po gospodarsku z tartemi ziemniakami i sałatą. Placek drożdżowy z jabłkami. Kolacja: Ryby bałtyckie wędzone.
SOBOTA **16** Jadwigi ks. śl.	Krupnik z drobiu. Brukselka z masłem i bułeczką. Kura z rosołu z sosem chrzanowym z jajami. Kompot mieszany. Kolacja: Kasza hreczana z kefirem.

HOCKI-KLOCKI

„FRONT LUDOWY" WŚRÓD PSZCZÓŁ.



Pszczoła do królowej: — Tak, pracować i ciągle pracować! A czy pani nic nie słyszała a angielskiej sobocie?

(„Ric et Rac")

SKRUPULAT.



— To już po raz piętnasty jak go operują!

— Czy on tak ciągle choruje?

— Nie, tylko w ten sposób wydobywa od chirurga swoją należność!

(„Ric et Rac")

Rozwiązania z Nru 40-go.

OSIEM KART

Należy tylko zmienić miejsca 8 i 9, a następnie tak odwrócić kartę z dziewiątką, aby z 9 otrzymać 6. Sumy cyfr obu kolumn wyniosą wtedy 18.

GŁOSOWANIE.

W głosowaniu wzięło udział 302 starszych panów.

PANI SKOWROŃSKA I JEJ DZIECI

Pani Skowrońska ma 33 lata, co można wywnioskować z danych zadania. Wobec tego suma lat jej dzieci = 11, a ponieważ każde z nich było urodzone w innym roku, więc mogą mieć tylko 6, 3 i 2 lata.

DWA NACZYNIA.

W drugiem naczyniu pozostała się 1/14 pierwotnej ilości wody.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

MLEKO DLA ZDROWIA.

Lekarz nakazał panu Wróblowi pić dużo mleka — co go bardzo przeraziło, gdyż po mleku dostawał zawsze niestrawności. Jednakże sądził, że mleko nie będzie mu szkodzić, jeśli je dostatecznie rozcieńczy wodą. Kupił więc butelkę Agrilowskiego mleka, odlał z niej jedną trzecią i dopełnił butelkę wodą. Następnie zrobił to samo po raz drugi i trzeci i wreszcie uznał, że otrzymana mieszanina jest zupełnie znośna.

Ile w pitej przez pana Wróbla cieczy było mleka, a ile wody?

DROGA DO BIURA.

Mieszkaniec sąsiedniego pokoju ma biuro w tym samym budynku, w którym mieści się moje biuro. Rano mój sąsiad jedzie do biura tramwajem, ja zaś autobusem. Droga tramwaju jest o $1\frac{1}{2}$ km dłuższa od drogi autobusu, a droga przebyta przez autobus wynosi 2/3 drogi przebytej przez tramwaj. Jeśli wyjeżdżamy o tej samej godzinie, przychodzimy jednocześnie do biura.

Ile kilometrów przebywa tramwaj, a ile autobus?

KULE BILARDOWE.

Na imieninach Bolka wuj Oleś dał dzieciom następującą zagadkę: „Wyobraźcie sobie, dzieci — rzekł, — że ta oto czerwona kula bilardowa zawisła w powietrzu. Ile identycznych białych kul bilardowych tej samej wielkości można ułożyć wokół czerwonej, tak, aby każda z białych ją dotykała?".

Odpowiedzi dzieci były bardzo różne. Więc ile?

PECH WŁAMYWACZA.



— Wytrzęsę z ciebie, złodzieju, wszystko coś mi ukradł!

— Błagam panią, niech pani przestanie, ja przyniosłem z sobą trochę własnych pieniędzy...

(„Ric et Rac")

SENSACJA.



— Co się tam dzieje?

— Instruktor pływania wpadł do wody...

(„Ric et Rac")

---

dokończenie ze str. 28-ej

roboty wraz z schematem kroju na elegancki kostjum na fotografji. Przez zastosowanie ukośnego kierunku roboty osiągnięto nadzwyczajną plastyczność i miękkość linij, przyczem krój jest zupełnie prosty. Kostjum wykonany jest z włóczki „Olimpijskiej" w delikatne smużki w odmiennym kolorze. — W tym właśnie kolorze jest utrzymana bluzeczka z włóczki „Luksusowej".

Krój podany jest na 92 cm obwodu klatki piersiowej. Liczby na kroju oznaczają wymiary w centymetrach. Potrzeba na kostjum ok. 1600 g włóczki „Olimpijskiej" i 250 g „Luksusowej" na bluzkę. — Spódniczkę kostjumu wykonujemy w 4-ch jednakowych częściach wg. kroju podanego w ilustracji. Każdą część zaczynamy od dołu i przerabiamy naprzemian 3 oczka wprost, 1 nawywrót. W rzędach powrotnych (po lewej stronie roboty) przerabiamy 3 oczka nawywrót, 1 wprost. Oczka prawe wypadają stale na prawych, lewe na lewych. Na jednym brzegu roboty ujmujemy po jednem oczku, a dodajemy po jednem na drugiem. Oprócz tego dla nadania formy brzegów bocznych ujmujemy, co 6 rzędów po 2 oczka zamiast po jednem. Ujmowanie i dodawanie rozmieszcza się w ten sposób, aby pasy przesuwały się zawsze od środka przodu wzgl. pleców nazewnątrz. — W tym celu dodajemy zawsze z brzegu wewnętrznego a ujmujemy na brzegach bocznych. Gotowe części zeszywamy w środku przodu, tyłu i z boków, pozostawiając u góry na lewym boku 10 cm nie zeszyte. Górny brzeg spódnicy wszywamy w gurt i zapinamy na haftki i zatrzaski. Dolny brzeg obrębiamy na 2 cm. Przody żakieciku zaczynamy również od dołu i przesuwamy pasy w prawym przodzie na prawo, w lewym na lewo, dodając i ujmując z tych samych brzegów co spódnicę. Podobnie robimy podłożenia pod przody wg. kroju. Kieszenie wykonujemy wg. kroju i naszywamy na przodach. Górny brzeg kieszeni obrębiamy. Plecy wykonujemy w dwóch częściach, dodając od brzegu środkowego a ujmując od zewnętrznego. Rękaw wykonać również w dwóch częściach dodawać jednak od brzegu skośnego a ujmować od środka. Gotowe części żakietu zeszyć i przyszyć podłożenia. Górny brzeg rękawów przed wszyciem zaszyć w 3 małe fałdki. Zapinać żakiet na zatrzaski i nosić z paskiem.

Bluzeczkę wykonać wg. kroju, gdzie 1 oznacza przód, 2 plecy, 3 rękaw. Zacząć wszystkie części od dołu i przerabiać na przemian 3 oczka wprost, 2 nawywrót. — W prawy przód wrobić 6 dziurek na guziki, zakończając po 4 oczka i wrabiając w następnym rzędzie tę samą ilość nowych oczek. Po ukończeniu roboty nabieramy na druty oczka wycięcia i dorabiamy prosty kołnierz tym samym ściegiem na wysokość 8 cm. Brzegi przodów i kołnierza oraz dolny brzeg rękawów obrabiamy szydełkiem, szydełkując na przemian 1 oczko powietrzne, 1 półsłupek. Dziurki na guziki obdziergujemy i przyszywamy skromne guziki. — Kostjum wykonujemy na drutach nr. 3, bluzkę na drutach nr. 2, 5.

—o—

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„SPOWIEDŹ“ J. MORTONA. Literaturze t. zw. młodej wsi przybywa nowy autor, Józef Morton, debjutujący powieścią o charakterze pamiętnikarskim p. t. „Spowiedź“. Nie wchodzę w to, ile jest w niej autobiografji, ile literackiej fikcji. Faktem jest, że utwór p. Mortona ujęty jest w formę osobistych wspomnień niejakiego Stefana Stefana Okoły. Okoła, jako syn ubogich rodziców, wieśniaków, ukończył nie bez wielkiego wysiłku materjalnego szkołę średnią, zapisał się na uniwersytet w Warszawie, ale tu warunki finansowe i zły stan zdrowia nie pozwoliły mu kontynuować studjów, które miały mu dać możność wybicia się, zdobycia posady i wspomożenia rodziny. Wszystkie te nadzieje zostały zawiedzione. Okoła powraca na wieś, jako rozbitek duchowy i fizyczny.

Autor zaczyna opowieść od chwili, gdy Stefan znajduje się znowu na wsi. Wydarzenia współczesne przeplata wspomnieniami z okresów wcześniejszych, tak, że stopniowo odsłania swą historję. Przejmująco brzmi ta „Spowiedź“! Bezradność Stefana, który ma wrażenie, iż wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, że niema miejsca na ziemi dla takich, jak on wy kolejeńców — wyraził autor bez silenia się na wielkie słowa, prosto i wzruszająco.

„OŁTARZ WNIEBOWZIĘCIA“ Z. REUTT-WIKOWSKIEJ Dziwnie pretensjonalny styl tej powieści utrudnia porozumienie z czytelnikiem, tem bardziej, iż akcję utworu prowadzi autorka okrężnemi drogami. Do prowincjonalnego miasteczka przybywa rzeźbiarz Savani, mający wykonać ołtarz w miejscowym kościele. Artyście pozuje Oldyna, żona poczciwego Tadeusza. Między nią a rzeźbiarzem zawiązuje się coś w rodzaju „niedowarzonego flirtu“, jak się wyraża małżonek Oldyny. Savani „opieszczał oczyma zrąb jej ciała, co podźwignął (!) był niegdyś mężnie owoce tej... miłości, która nie była jego miłością“. — Matka Oldyny namawia córkę do opuszczenia domu i pójścia za Savanim. Oldyna uważa, że ma „obowiązek zostać tu, gdzie mnie Bóg postawił“. Ostatecznie Savani zrezygnuje z Oldyny, wróci do swej żony i córki, a Oldyna zostanie, jak się to mówi, „przy dzieciach i mężu“.



WARSZAWA W Teatrze Kameralnym zadebjutowała jako autorka dramatyczna, Pola Gojawiczyńska. Jej „Współczesne“ należą do kręgu postaci, znanych z utworów powieściowych wybitnej autorki. Nie znaczy to, żeby Gojawiczyńska kontynuowała na scenie losy „Dziewcząt z Nowolipek“, czy „Rajskiej jabłoni“, lecz klimat sztuki przypomina tamte dzieła. Wspominaliśmy niedawno, pisząc o „Rajskiej jabłoni“, że autorka przyjmuje postawę zdecydowanej feministki. Najwięcej miejsca poświęca w swych utworach kobietom. Podobnie jest we „Współczesnych“. Inna rzecz, że tutaj nie widzimy prawie nic poza ich kłopotami sercowemi. — Wszystkie wzdychają za miłością, poszukują jej wytrwale, a nie znajdują nic prócz zawodów. Mężczyźni przedstawieni są w niezbyt korzystnych barwach. Zresztą autorka nie „idealizuje“ kobiety, tylko z czułością pochyla się nad ich troskami.

Z punktu widzenia scenicznego „Współczesne“ odznaczają się mniejszym artyzmem, niż powieści autorki. Najwidoczniej tamta forma wypowiedzi twórczej lepiej jej odpowiada. Trudno przesądzać sprawę, być może, iż po pierwszem doświadczeniu głębiej wniknie Gojawiczyńska w tajniki sceny.

To też z uznaniem podnieść należy wysiłek Teatru Kameralnego. Reżyserował sztukę Adwentowicz. Na plan pierwszy wysunęła się Grywińska i Strachocki. Resztę zespołu tworzyli m. in. pp.: Polakówna, Drohocka, Zniczowa, Kitajewiczówna, Kochanowicz, Ostrowski.

LWÓW. Teatr Wielki wystawił po raz pierwszy obydwie wersje „Legendy“ Wyspiańskiego: pierwszą i drugą. Układ tekstu i reżyserja spoczywała w rękach H. Szletyńskiego, który stworzył nastrojową całość. Do podniesienia wartości widowiska przyczyniła się walnie oprawa dekoracyjna M. Różańskiego, zarówno dwórzyszcze Kraka, jak i pomysłowy brzeg Wisły.

Ilustrację muzyczną, opartą na motywach ludowych, skomponował T. Sygietyński. Największy sukces aktorski odniósł A. Szymański w roli Śmiecha. Inni wykonawcy: Machalski (Krak), Zbierzowska (Wanda), Madaliński (Łopuch). Na wyróżnienie zasługuje również Górska jako Rusałka.

Teatr Rozmaitości wprowadził na scenę sztukę Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej pt. „Zalotnicy niebiescy“. Reżyserował ją dyr. Warnecki, który odtworzył rolę lotnika Jastramba. Rolę tę kreował po raz pierwszy przed kilku laty w Warszawie, zdobywając uznanie krytyki i publiczności. Partnerką jego jest teraz J. Brochwiczówna, znana dotychczas głównie z rewji i teatrów operetkowych. Aktorka ta wywiązała się należycie z zadania.

BYDGOSZCZ. Stulecie urodzin Bałuckiego znajduje żywe echo na naszych scenach. Po „Grubych rybach“ w Krakowie i Katowicach, mamy do zanotowania wystawienie „Krewniaków“ w Bydgoszczy w reżyserji dyr. W. Stomy. Reżyser zlekka wystylizował sztukę, wydobywając z niej wiele możliwych efektów.

Na uznanie zasłużyli wszyscy wykonawcy. W szczególności p. Czechowska (Bibiana Tarapatkiewiczowa), a pozatem: pp. Rewkowski (Napoleon Dumski), Morozowiczowa (ciotka Katarzyna Podgórska (Anila), Brochocka (Regina Lubowicz), Arczyń (Anna), Butrym (Kajetan Tarapatkiewicz). **J. J.**



Niedziela, 10 października.

8.00 Audycja poranna
8.15 Audycja dla wsi
9.00 Muzyka
11.30 Transmisja nabożeństwa z Katedry z Warszawy
12.03 Poranek muzyczny
13.50 Muzyka obiadowa
14.45 Audycja dla wsi
15.45 „Wszystkiego potrochu“ — audycja dla wsi
16.05 Koncert solistów
16.45 „Aniełcia i życie“ — powieść mówiona
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie
19.00 „Lekcja deklamacji“ — fraszka
19.35 Nowe płyty słynnych artystów
22.00 Opowieść o Mozarcie

Poniedziałek. 11 października.

6.15 Audycja poranna
11.15 Audycja dla szkół
12.03 Audycja południowa
15.45 „Z pieśnią po kraju“
16.15 Koncert rozrywkowy
17.00 „Bursztyn“ — pogadanka
17.15 Żeleński i jego uczniowie — recital śpiewaczy W. Hendrich
18.10 Lekka muzyka fortepianowa
18.35 Audycja dla wsi
19.00 Audycja strzelecka
19.30 „Czy dziecku należy pod każdym względem ułatwić życie?“
20.00 Koncert ze Lwowa
21.35 Nowości literackie
21.55 Utwory Beethovena
22.30 Audycja ku czci Pulaskiego

Wtorek, 12 października.

6.15 Audycja poranna
11.15 Audycja dla szkół
11.40 Franciszek Liszt
12.03 Audycja południowa
15.45 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata — z Poznania
16.15 Łódzka Orkiestra Salonowa
17.15 Koncert solistów — z Katowic
18.25 Muzyka
18.35 Audycja dla wsi
19.00 „Nieśmiertelne książki“ — Wieczór I
19.35 Audycja konkursowa
20.00 Wiedeńskie dziewczątko — z Krakowa
21.00 Opera „Zanetto Wędrowiec“
22.00 Muzyka taneczna

Środa, 13 października

6.15 Audycja poranna
11.15 Audycja dla szkół
11.40 Claude Debussy: Mała suita
12.03 Audycja południowa
15.45 „Chwilka pytań“ — pogadanka dla dzieci
16.00 „Uczmy się mówić“
16.15 Z twórczości Władysława Żeleńskiego — koncert t
17.00 Tadeusz Kościuszko w 120 rocznicę zgonu
18.10 Barnaba Geczy i Albert Sandler grają serenady
18.35 Audycja dla wsi
19.20 Pieśni ludowe w wykonaniu chóru chłopców szkoły powszechnej Nr. 4 z Poznania
19.35 „Wartości pozytywne pesymizmu“ — odczyt
20.00 Popularni pieśniarze w produkcjach solowych i zespołowych
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Zbigniewa Drzewieckiego
21.45 Kwadrans poezji: „Piękno mowy polskiej
22.00 Koncert popularny w wyk. Ork. Adama Hermana

Czwartek, 14 października.

6.15 Audycja poranna
11.15 Poranek muzyczny dla gimnazjów
11.40 Scherza symfoniczne
12.03 Audycja południowa
15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą
16.15 Melodje popularne w wyk. Lwowskiego Kwartetu Salonowego
17.00 „Reportaż z Zakładu botaniki ogólnej w Poznaniu“
17.15 Utwory Schumanna na klarnet i altówkę
18.25 Muzyka
18.35 Audycja dla wsi
19.00 „Gość“ — słuchowisko Stefana Balickiego z Poznania
19.30 Pieśni w wykonaniu Stanisława Pieczory
20.00 Weseli marynarze — koncert rozrywkowy w wyk. Ork. Marynarki Wojennej
21.00 Koncert symfoniczny pośw. twórczości Karola Szymanowskiego

Piątek, 15 października.

6.15 Audycja poranna
11.15 Audycja dla szkół
11.40 Ewa Turner śpiewa
15.45 „Kruk Pipuś“ — opowiadanie dla dzieci
16.15 Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Rozgłośni Krakowskiej
17.00 „Obozy wypoczynkowe dla młodzieży pracującej w Austrji — reportaż
17.15 Lekkie utwory Jana Brahmsa na 4 ręce
18.10 Dzwony i organy Wurlitzera
18.35 Audycja dla wsi
19.00 „Logika serca“ — komedja Flersa i Caillaveta
19.35 Recital śpiewaczy Julji Mechówny
20.00 „Kalejdoskop“ — rozrywkowa audycja muzyczna
21.00 Koncert muzyki polskiej

Sobota, 16 października.

6.15 Audycja poranna
11.15 Audycja dla szkół
12.03 Audycja południowa
15.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci: słuchowisko p. t. „W pustyni i puszczy“
16.15 Koncert ork. mandolinistów „Halka“ z Rodzienia-Szopienic
17.00 „Niemodne sylwetki krakowskie“ — felieton
17.15 Idylle (płyty)
18.35 Felieton prawno-społeczny
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą
20.00 Tańce i pieśni Adama Wrońskiego
21.00 Koncert z udziałem Kiepury — transmisja z Paryża

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.